

KUŹNICA

Rok IV

Łódź, 11 lipca 1948 r.

Nr 28 (149)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

MIECZYSLAW WIONCZEK

Z prehistorii polityki anglosaskiej w Niemczech powojennych

Z DZISIEJSZEJ perspektywy stosunków między okupantami Niemiec, okres 1943–1945, poprzedzający Umowę Poczdamską to nieledwie prehistoria. Mało się o nim wie w Polsce, traktując go generalnie jako jedyny okres, w którym wszyscy uczestnicy obozu alianckiego drugiej wojny światowej mieli całkowicie zgodne poglądy na metody powojennego rozwiązania problemu niemieckiego.

Szereg ogłoszonych w Ameryce w ciągu ostatnich miesięcy wspomnień i pamiętników z tego okresu wydaje się przeczyć tej tezie. Podważają ją zwłaszcza ogłoszone w listopadzie 1947 w „New York Post” fragmenty pamiętników Henry Morgenthau, ministra skarbu USA w latach 1933–1945 i autora głośnego w końcowej fazie wojny tzw. „planu Morgenthau” dla Niemiec. Owe pamiętniki, poparte innymi autorytatywnymi materiałami wskazują, że już w owym — pozornie idyllicznym — okresie pracowały przeciwko rozwiązaniu problemu niemieckiego w myśl interesów i bezpieczeństwa całej Europy siły, które oparowały po śmierci Roosevelta dyspozycyjne centra polityczne USA, doprowadziły następnie Zachód do obecnej antypoczdamskiej i antyeuropejskiej polityki w Niemczech.

Kontrowersyjny „plan Morgenthau” powstał w jesieni 1944 i teoretycznie obowiązywał on w Waszyngtonie i Londynie do konferencji poczdamskiej. Postulował on podział Niemiec, pozbawienie ich potencjału przemysłowego i uczynienie z nich kraju rolniczego. W swej kraciowości był planem utopijnym i zrealizowany być nie mógł. Na jego powstanie złożyły się tendencje pewnych kół amerykańskich — eliminacji Niemiec z widowni gospodarczej świata i osobiste poglądy Henry Morgenthau, rzecznika „najsurowszego pokoju” za zbrodniczy naród niemieckiego przeciw ludzkości.

W artykule niniejszym „plan Morgenthau” nie będzie rozpatrywany z punktu widzenia jego merytorycznych zalet czy wad. Bardziej interesujące bowiem dla badacza powojennej polityki alianckiej w Niemczech są zjawiska uboczne, towarzyszące narodzinom tego planu: walka toczona wewnątrz obozu alianckiego wokół niego, zakończona — jak pokazuje rozwój wypadków — zwycięstwem grupy krańcowo przeciwnej, zwolenników „silnych Niemiec”, której symbolem być może nazwisko Herberta Hoovera.

I

Według opublikowanych do dziś na Zachodzie materiałów do dziejów drugiej wojny światowej, mocarstwa zachodnie do ostatnich miesięcy przed kapitulacją Niemiec nie miały skonkretyzowanych oficjalnych planów polityki wobec Niemiec powojennych. Planem pierwszym, przyjętym — teoretycznie tylko — we wrześniu 1944 w Quebec, był właśnie „plan Morgenthau”. Wcześniej przygotowania polityki okupacyjnej opierały się — w teorii — na dokumentach tak ogólnikowych jak Karta Atlantycka, w praktyce — na przygotowywanych na własną rękę doraźnych instrukcjach bezpośrednio zainteresowanych ministerstw rządów USA i Wielkiej Brytanii. Bogata literatura publicystyczna w obu krajach na temat Niemiec, w tym okresie na planowanie polityki okupacyjnej obu rządów wielkiego wpływu nie miała.

Na agendzie obrad Wielkiej Trójki sprawa powojennego kształtu Niemiec pojawiła się po raz pierwszy w Teheranie, gdzie dyskutowano ją na marginesie bieżących problemów militarnych alian-

tów w Europie. Według relacji podsekretarza stanu w Departamencie Skarbu USA, Alfreda Smitha¹⁾, który brał udział w rozmowach anglo-amerykańskich na temat Niemiec w jesieni 1944, popartych innymi autorytetami, sprawa przyszłości Niemiec pod kątem zabezpieczenia Europy przed ich przyszłymi agresjami dyskutowana była w Teheranie z inicjatywy Roosevelta przy żywym udziale Stalina i „minimalnym zainteresowaniu” Churchilla. W Teheranie też polecono, powołanej tamże do życia Europejskiej Komisji Doradczej, złożonej z przedstawicieli trzech mocarstw i urzędującej w Londynie, opracowanie projektów w tej sprawie, ze specjalnym uwzględnieniem granic przyszłych Niemiec i ich ewentualnego podziału.

Tak się jakoś stało, że Europejska Komisja Doradcza nigdy nie zabrała się do realizacji dyrektyw teherańskich. W rok później — stwierdził Morgenthau — nie tylko nie było żadnych owoców jej prac w tej materii, ale — według relacji Morgenthau i ówczesnego ambasadora USA w Londynie Winanta — najwyżsi urzędnicy Waszyngtonu nie o takich dyrektywach nie wiedzieli. Ponieważ równocześnie Departament Stanu i Departament Wojny USA, a także brytyjski Foreign Office przygotowały plany pokoju i polityki okupacyjnej dla Niemiec, według koncepcji niezbyt odległych od realizowanych na Zachodzie Niemiec obecnie, można mieć poważne wątpliwości, czy owa niewiedza Waszyngtonu i Londynu była przypadkowa.

Według zgodnych relacji Smitha i Morgenthau, sprawa zaniechania przez Europejską Komisję Doradczą dyrektyw z Teheranu wypłynęła całkiem przypadkowo podczas rozmów amerykańsko-brytyjskich w Londynie w połowie sierpnia 1944. Na konferencji w Foreign Office, z udziałem ze strony amerykańskiej Henry Morgenthau, Harry White z Biura Informacji Wojennej (OWI) i ambasadora Winanta oraz — ze strony brytyjskiej — Anthony Edena i brytyjskiego członka Komisji Europejskiej, Williama Stranga, okazało się, że Komisja zajmuje się sprawami niewiele mającymi wspólnego z dyrektywami Teheranu. Winant, który brał udział w obradach teherańskich, oświadczył, że jakkolwiek wiadomo mu o decyzjach Wielkiej Trójki w sprawie dyrektyw dla Komisji Europejskiej, nikt nie upoważniał go do wnoszenia sprawy na agendę Komisji.

Po powrocie do USA, 17 sierpnia 1944, — pisze w swych pamiętnikach Morgenthau — ze zdziwieniem odkrył on, że decyzje teherańskie w sprawie Doradczej Komisji Europejskiej nie są znane Sekretarzowi Stanu USA, Cordell Hullowi. „Kiedy opowiedziałem Hullowi — pisze — o moim londyńskim odkryciu, spojrział zdziwiony i oświadczył: „Dowiaduję się o tym po raz pierwszy. Nigdy nie pozwolono mi przeczytać pełnych stenogramów z Teheranu...” Późem, zapytany o własne poglądy na temat przyszłości Niemiec, Hull rzekł: „Nie mam nic do powiedzenia w tej materii. Nie jestem informowany o tym, co się w tych sprawach dzieje. Załatwia się je jeszcze wyżej. Mówi się mi, że są to sprawy militarne. Mam codzienne narady z Departamentem Wojny na temat naszych doraźnych celów, ale kiedy dyskutuje się tam „sprawy przyszłych Niemiec, nikt nie zasięga nawet mojej rady”.

¹⁾ Fred Smith — „The rise and fall of the Morgenthau Plan” (Narodziny i upadek „planu Morgenthau”) — United Nations World — marzec 1945.

Obojętne, czy słowa Hulla pokrywały się z prawdą, czy nie, wiadomo dzisiaj, że oba Departamenty przygotowywały się — każdy na własną rękę — do przyszłych zadań okupacyjnych w Europie. Plany Departamentu Wojny datują się z roku 1943, aczkolwiek szkolenie personelu okupacyjnego zaczęło się znacznie później. Plany Departamentu Stanu ujawnia w swych pamiętnikach Morgenthau.

Departament Wojny USA — według relacji jednego z wyższych urzędników okupacyjnych w Niemczech od spraw reedukacji, Marshalla Knappena²⁾ — miał w pierwszym okresie plany najzupełniej mgławicowe. Sprowadzały się one do hasła dla członków armii ekspedycyjnej w Europie: „Wtargnijcie do Niemiec i unieszkodliwcie jak najwięcej nieprzyjacielskich żołnierzy”. W roku 1944 program Departamentu Wojny uległ krystalizacji, znajdując wyraz w podręczniku dla oficerów amerykańskich „Handbook Army for Germany”. Stał się też on podstawą szkoleniową personelu okupacyjnego w obozach amerykańskich w Wielkiej Brytanii. „Army Handbook” określał zadania administracji amerykańskiej w okupowanych Niemczech jak następuje: „Głównym i bezpośrednim zadaniem amerykańskiego zarządu wojskowego jest jak najszybsze ponowne uruchomienie administracji niemieckiej... Najważniejsze jest, aby maszyną funkcjonowała i funkcjonowała sprawnie...”. Podręcznik zalecał utrzymanie scentralizowanego systemu administracji niemieckiej, ostrzegał przed zbyt pochopnym niszczeniem go przez usuwanie zastanych urzędników niemieckich i za jedną ze spraw specjalnie ważnych uważał utrzymanie wyżywienia cywilnej ludności niemieckiej na należytym poziomie (2000 kalorii dziennie) nawet za cenę importu żywności do Niemiec w razie potrzeby. „Army Handbook” podkreślał, że personel okupacyjny amerykański ma w pierwszym rzędzie zająć się: „reorganizacją policji, ochroną praw własności, stopniowym uruchamianiem pokojowego przemysłu niemieckiego i zapobieganiem zaburzeniom przemysłowym”.

Nastroje, jakie panowały w r. 1944 w amerykańskiej Kwaterze Głównej w Europie, gdzie przy użyciu „Army Handbook” przygotowywano szczegółowe plany dla zarządów okupacyjnych, przedstawiał wysoki urzędnik oddziału spraw cywilnych Kwatery Głównej (SHAEE-Civil Affairs), płk. Bernstein, podczas opisywanych przez Morgenthau rozmów londyńskich. Bernstein, zmuszony do rezygnacji ze służby w Niemczech w r. 1946 przez elementy antypoczdamskie (gen. Williamsa Drapera i amb. Roberta Murphyego), oświadczył wówczas, że: „w przygotowywaniach armii amerykańskiej i brytyjskiej do zadań okupacyjnych trudno znaleźć elementy, które zadowoliliby zwolenników tezy, że polityka wobec Niemiec musi mieć jako główne założenie uniemożliwienie następnych agresji niemieckich. Eksperci od spraw okupacyjnych w Kwaterze Głównej są coraz bardziej przejęci tym, co jest dobre i skuteczne z punktu widzenia sprawności administracyjnej, a nie faktem, że przedmiotem kontroli mają być sprawy ostatniej wojny — Niemcy”.

Planujący równolegle politykę wobec powojennych Niemiec Departament Stanu USA przygotował w ciągu r. 1944 szereg memorandumów na ten temat. Zawartość jednego z nich znana jest z uwag krytycznych Morgenthau. Pisze on o memorandum Departamentu Stanu na temat reparacji niemieckich z lipca 1944, że

²⁾ Marshall Knappen — „And call it peace” (I nazywaj to pokojem) — Chicago 1947.

I Miejskie wypożyczalnia książek
dla dorosłych
M. VII 1948

O PRAWA! WASZA WĄDROŚĆ
CZĘSTO ZAWIERA SIĘ TYLKO
W STYLU.

A. Radiszczew

TREŚĆ NUMERU:

MIECZYSLAW WIONCZEK —

Z PREHISTORII POLITYKI
ANGLOSASKIEJ W NIEMCZACH
POWOJENNYCH

LEON GOMOLICKI —

„WOJNAROWSKI”

ALEKSANDER RADISZCZEW —

Z „PODRÓŻY Z PETERSBURGA
DO MOSKWY”

JAN SPIEWAK —

STANISŁAW WYGODZKI —

STANISŁAW PIĘTAK —

WIERSZE

STANISŁAW ZIELIŃSKI —

OPOWIADANIA

STEFAN ŻÓLKIEWSKI —

NA MARGINESIE XXV TOMU
„NAUKI POLSKIEJ”

ADAM BROMBERG —

KSIĄŻEK CORAZ WIĘCEJ

JOZEF SIERADZKI —

SPRZYMIERZENCY

PRZEGLĄD PRASY

KORRESPONDENCJA

NOTY

„zawierało ono sprzeczności. Wyrażając się prychylnie o kontroli potencjału wojennego — ekonomicznego pokonanych Niemiec sprzeciwiało się równocześnie naruszeniu potencjału ciężkiego przemysłu wojennego i rozważało jako końcową fazę polityki amerykańskiej włączenie gospodarki niemieckiej w przedwojenne rozmiary do gospodarki światowej”.

Oba departamenty przygotowały swą politykę wobec Niemiec — twierdzi Morgenthau — bez wiedzy Roosevelta. Wspomniany „Army Handbook”, podsunęty przez Morgenthau prezydentowi Rooseveltowi spotkał się z jego najostrejszą krytyką. Roosevelt oświadczył: „Dyrektywy te robią na mnie wrażenie, że Niemcy mają otrzymać pomoc taką, jak Belgia i Holandia i że naród niemiecki ma jak najszybciej przy naszej pomocy powrócić do stanu przedwojennego. Istnieje zarówno w Londynie jak i u nas szkoła myślenia, która chciałaby uczynić dla Niemiec to, co rząd amerykański uczynił dla swych własnych obywateli w roku 1933, kiedy w wyniku kryzysu leżeli na łożach. Nie widzę najmniejszego powodu do tego”.

Jeżeli na wyraźne polecenie Prezydenta „Army Handbook” został wycofany z użytku jesienią 1944 roku i zastąpiony początkowo dyrektywami opartymi o „plan Morgenthau”, a potem związaną z umową poczdamską dyrektywą dla władz okupacyjnych gen. Eisenhowera (Dyrektywa JS 1067), zawierającą m. in. zdanie: „Nie uczynisz nic, co by sprzyjało odbudowie Niemiec”, nie znaczy to wcale, aby nowe dyrektywy były przez Anglosasów realizowane w terenie. Złożyło się na to nie tylko istnienie samodzielnych wrogich im ośrodków dyspozycyjnych w obu Departamentach, ale i stanowisko konserwatystów brytyjskich, oraz poglądy potężnych kół bankowo-finansowych amerykańskich. Koła te, obsadziwszy w czasie wojny czołowe placówki amerykańskiego wywiadu wojskowego w Europie swymi ludźmi (Allen W. Dulles był w czasie wojny szefem OSS na Niemcy), panowały nad sytuacją z ukrycia doskonale, nie ujawniając jeszcze w tym okresie prawdziwych swych zamiarów. Poglądy kół rządowych brytyjskich znane są nam zarówno z pamiętników Mor-

genthau, jak i z wspomnień Alfreda Smitha. Idea silnych powojennych Niemiec była w konserwatywnych kołach brytyjskich w roku 1944 niesłychanie popularna. Morgenthau po rozmowie z brytyjskim kanclerzem skarbu, Sir John Andersonem, zanotował: „Wielu Torysów myśli w kategoriach silnych powojennych Niemiec, jako potencjalnego rynku zbytu z jednej strony, a jako przeciwwagi Związkowi Radzieckiemu w Europie — z drugiej”. Smith, który przebywał w tym czasie również w Londynie, pisze: „Istnieje w Londynie grupa, która chce zbudować w Niemczech fortecę przeciwko Związkowi Radzieckiemu, w przekonaniu, że odrodzone Niemcy będą mniejszym niebezpieczeństwem niż komunizm”. Zdaniem Smitha poglądy Churchilla w tym okresie miały być nieco bardziej umiarkowane od poglądów owej grupy i ambasador amerykański w Londynie, Winant, wyrażał opinie, że przy należytych naciskach Roosevelta uda się przekonać brytyjskiego premiera do „kontynuowania trzistronnych porozumień w sprawie Niemiec”.

Układ sił w obozie anglo-amerykańskim odnośnie polityki w powojennych Niemczech wyglądał — w relacji Morgenthaua — w sierpniu 1944 roku, a więc w momencie, kiedy wojska alianckie przekroczyły Sekwanę, a wojska radzieckie stanęły nad Wisłą — jak następuje: „Departament Stanu bronił tezy, że Niemcy muszą jak najszybciej znaleźć się z powrotem w rodzinie narodów świata. Armia USA chciała najprostszymi środkami zrobić skuteczną robotę administracyjną. Europejska Komisja Doradcza, ignorując instrukcje teherańskie, planowała przyszłość Niemiec w terminach Niemiec jednolitych. Brytyjskie Ministerstwo Skarbu zainteresowane było Niemcami, jako powojennym rynkiem zbytu”.

W sierpniu — wrześniu 1944 roku, kiedy w Waszyngtonie, Londynie i w Quebecu Henry Morgenthau forsował swój plan dla Niemiec, opór Wielkiej Brytanii przeciwko osłabieniu Niemiec po wojnie ujawnił się w całej okazałości. Pamiętając o tym, że „plan Morgenthaua” rzeczywiście nie był do zrealizowania, nie sposób powstrzymać się od zacytowania za Morgenthauem opisu pewnej konferencji w sprawie Niemiec z udziałem Roosevelta i Churchilla. Konferencja miała miejsce 13 września 1944 roku w Quebecu. Oto jej opis, wyjęty z pamiętników Morgenthaua: „Prezydent poprosił mnie o przedstawienie planów Departamentu Skarbu dla Niemiec i zaledwie zacząłem swe wyjaśnienia, że pomruki i kwaśna mina premiera Churchilla pokazały, że nie był on najbardziej entuzjastycznym spośród mych słuchaczy. Będąc gorącym zwolennikiem Churchilla, muszę jednak przyznać, że tak wściekłym jak wtedy, nie widziałem go nigdy. Ledwie skończyłem mówić, zalał mnie potokiem wymowy pełnej sarkazmu i dosadnych zwrotów. Oświadczył, że słuchając naszych wywodów czuje się jak przykut do niemieckiego trupa. Atakował mnie bez litości, jak najjadowniej, pokładając się w fotelu. Nigdy w życiu mnie jeszcze nikt tak nie zbieszczał”.

Nazajutrz — notuje Morgenthau — Churchill ochłonął nieco i pod naciskiem Roosevelta poczynił znaczne ustępstwa. Owocem rozmów w Quebec na temat niemieckie było podpisane przez Churchilla i Roosevelta 15 września 1944 roku memorandum, którego treść nabiera specjalnego posmaku w świetle dzisiejszej polityki anglo-amerykańskiej w Niemczech Zachodnich. Memorandum to miało brzmienie następujące: „Na konferencji Prezydenta i Premiera na temat najlepszych środków zapobieżenia przyszłemu zbrojeniom niemieckim uznano, że podstawowym elementem jest przyszłość Rury i Saary. Gorzkie doświadczenia przeszłości pokazały już nam, jak łatwo przemysł metalowy, chemiczny i elektryczny Niemiec może być przedstawiony z produkcji pokojowej na wojenną. Pamiętać również należy, że Niemcy zdewastowali znaczną część przemysłu radzieckiego i innych sąsiednich krajów alianckich. Prosta sprawiedliwość wymaga, aby te zniszczone kraje otrzymały sprzęt techniczny dla odbudowy strat poniesionych w czasie wojny. Głębiej przemysłu w zagłębiach Rury i Saary, o których mowa wyżej, winny być przeto unieruchomione. Uznano, że oba okręgi zostaną oddane pod kontrolę międzynarodowej organizacji, która dopilnuje demontażu tych gałęzi przemysłu i zagwarantuje, że nie zostaną one pokryjono odbudowane. Program likwidacji wojennego przemysłu w zagłębiach Rury i Saary jest zamierzony, jako krok ku przebudowie Niemiec w kraj o strukturze przede wszystkim rolniczej. Premier i Prezydent wyrazili zgo-

dę na powyższy program. Podpisano: F. D. Roosevelt, W. S. Churchill”.

W memorandum, jeśli usuniemy z niego ostatnie, morgenthauowskie zdanie, zawarte są te wszystkie podstawowe elementy polityki wobec zwyciężonych Niemiec, jakie gwarantować mogły bezpieczeństwo ofiarom agresji niemieckiej: uznanie potencjalnego niebezpieczeństwa ze strony Niemiec w przyszłości, stwierdzenie, że materialną bazą takiej agresji może być przede wszystkim niemiecki ciężki przemysł na Zachodzie, przyznanie ofiarom agresji ze Związkiem Radzieckim na czele praw do reparacji z potencjału przemysłowego Niemiec zachodnich, wreszcie uznanie, że bez ścisłej międzynarodowej kontroli niemieckich centrów przemysłowych nie można będzie zapobiec przyszłym agresjom Niemiec na Europie. Jeśli po Jaltie i Poczdamie, sankcjonującym tezy memorandum, zostały one przez Anglosasów porzucone jednostronnie, to jasne jest, że złożyły się na to: 1) zwycięstwo w USA tezy brytyjskich Torysów, o której wspominał i Morgenthau i Alfred Smith, 2) przejście do ofensywy — bezpośrednio po śmierci Roosevelta — pozostających uprzednio w ukryciu kół, które w Szwajcarii reprezentował w czasie wojny szef OSS, Allen W. Dulles, wreszcie 3) minimalna znajomość problemu niemieckiego w kołach średniego i niższego personelu okupacyjnego anglosaskiego w Niemczech. Pewne wydarzenia w USA bezpośrednio po tajnych rozmowach na temat niemieckiej w Quebec, o których wspomina w swych pamiętnikach Morgenthau, rzucają tu światło dodatkowo.

23 września 1944, a więc w tydzień po podpisaniu ściśle tajnego memorandum w Quebec, nowyorki „Wall Street Journal” w korespondencji z Waszyngtonu ujawnił wszystkie główne tezy tzw. „planu Morgenthaua”. Nazajutrz cała wielka amerykańska prasa pełna była analiz i komentarzy do jego zawartości, ustosunkowując się zarówno do tego, co znalazło się w samym „planie” jak i do tego, co było w nieznanym prasie memorandum Roosevelta i Churchilla, jak najbardziej negatywnie. Prasa, a następnie republikański kontrkandydat Roosevelta w wyborach 1944 Thomas Dewey, zgodnie twierdził, że surowe plany alianckie wobec Niemiec zwiększą opór militarny narodu niemieckiego i kosztować będą dodatkowe życie amerykańskich żołnierzy w Europie. Każdy, kto zna wrażliwość opinii amerykańskiej na takie argumenty w czasie ostatniej wojny, przyznać musi, że cios wymierzony został bardzo trafnie. Wątpliwości też nie ulega, że zawartość tajnych państwowych dokumentów ujawniona została korespondentowi „Wall Street Journal” przez jednego z licznych w Departamencie Stanu i Wojny USA już wówczas rzeczników i obrońców kół, zainteresowanych utrzymaniem w Niemczech po wojnie przedwojennego status quo.

Tym szczegółem z prehistorii polityki alianckiej wobec powojennych Niemiec możemy właściwie zamknąć artykuł. Przebieg obrad na temat niemieckie w Jaltie i Poczdamie oraz protokoły z tych konferencji Wielkiej Trójki są znane. Znać są również z relacji licznych dziennikarzy losy Niemiec po Poczdamie i kolejne etapy polityki poszczególnych okupantów wobec Niemiec.

II

Obraz nie będzie jednak pełny, jeśli nie doda się doń krótkiego opisu pierwszych faz polityki zachodnich aliantów w Niemczech w terenie — najpierw w obozach szkoleniowych w Wielkiej Brytanii, a potem na zajmowanych przez armie anglosaskie częściach B. Rzeszy. Wspomnienia cytowanego już Marshalla Knappena, zastępcy szefa wydziału wychowania Zarządu Wojskowego USA dla Niemiec w latach 1944—1946 są pod tym względem specjalnie interesujące.

Knappen, profesor historii na uniwersytecie stanu Michigan z cywila, opuścił Niemcy jesienią 1946 w nastroju rozczarowania z racji rzekomo zbyt ostrego kursu anglo-amerykańskiego wobec ludności niemieckiej. Jego pełne naiwności wspomnienia ze służby w Europie obrazują doskonale stan umysłów znacznej części urzędników okupacyjnych, którzy tą właśnie naiwnością ułatwiali znakomicie rzeczywistym kierownikom polityki w terenie (w rodzaju gen. Williama Drapeira, w życiu prywatnym współwłaściciela Dillon, Read and Co, największego inwestora w Niemczech weimarskich, czy amb. Roberta Murphyego) ich działalność antypoczdamską w Niemczech.

Knappen, opisując swe otoczenie — przyszłych urzędników administracji Nie-

miec — w obozach szkoleniowych w Wielkiej Brytanii w r. 1944, i utożsamiając się z nimi, twierdzi, że panowało tam przekonanie, że polityka amerykańska wobec Niemiec pohitlerowskich będzie powtórzeniem doktryny Wilsona o „samostanowieniu narodów”. Autor wraz ze znaczną częścią swych kolegów nie był wcale przekonany o winie Niemiec za pierwszą wojnę światową. Jego zdaniem hitlerizm było to usprawiedliwione, szukanie dróg wyjścia z impasu gospodarczego przez naród, spóźniony w rozwoju w stosunku do USA i Wielkiej Brytanii, zubożony poprzednią wojną i kryzysem i mający niezwykle według Amerykanów trudności demograficzne. Hitlerizm też wg Knappena potrafił rozwiązać cały szereg problemów ekonomicznych Niemiec i — szkoda tylko — że ostatecznie postawił ponad masło armaty. (Książka pisana była w rok po procesie norymberskim, który pozostał bez żadnego, jak widać wpływu na poglądy wysokich urzędników amerykańskich w Niemczech). Stąd po porażce militarnej Niemiec nie pozostało zdaniem autora wspomnień nic innego, jak 1) wykazać Niemcom błędność „stawiania armat ponad masło” i 2) usunąć przyczyny hitlerizmu przez podniesienie standardu życiowego Niemiec i włączenie ich do liberalno-kapitalistycznego świata zachodniego.

Z takim nastawieniem kandydaci na urzędników okupacyjnych Niemiec zabrali się w Wielkiej Brytanii wiosną 1944 do przygotowywania planów polityki okupacyjnej. „Większość uczestników tzw. German Country Unit, przygotowujących personel okupacyjny, przyjęła — pisze dosłownie Knappen — za bazę orientacyjną Kartę Atlantycką, zakładając, że polityka amerykańska w Niemczech będzie miała za cel poparcie odnowionej Republiki Weimarskiej z dodatkami niskich cel, ułatwiających wymianę gospodarczą Niemiec ze światem zewnętrznym i z pominięciem idiotycznego błędu uchylania się od pomocy finansowej Niemcom, w wypadku, jeśli będzie ona potrzebna”.

Odstąpienie od owych zasad przez Roosevelta w okresie Quebec, Jaltę i Poczdam było zdaniem uczestników German Country Unit postępieniem nierozsądnym, ponieważ „usuwało możliwość stworzenia w okupowanym kraju ekonomicznej bazy pod przyszłą demokrację niemiecką”. W wyniku tego odwrótu od zasad Karty Atlantyckiej i na skutek rzekomego zwycięstwa zasady „zemsty nad Niemcami” w aparacie okupacyjnym amerykańskim zapanować miało zamieszanie. Trwało ono do chwili ogłoszenia dyrektywy generała Eisenhowera, poczem przyjęto ją jako podstawę planowania i akcji — bez wiary w jej słuszność i skuteczność. Zakładając maksimum dobrej woli części Amerykan, postawa taka nie mogła rokować żadnych dobrych rezultatów, zwłaszcza wobec najazdu na zarząd cywilny i wojskowy w Niemczech od pierwszych tygodni okupacji przedstawicieli kół bankowo-przemysłowych i rzeczników poszczególnych związków z przedwojennym przemysłem niemieckim korporacji.

Tym ostatnim jak i patrzącym na sytuację w Europie pod kątem widzenia strategicznego kołom wojskowym wyszły naprzeciw w Niemczech koła, o których pisze Knappen obszernie, choć ze znacznym zakłopotaniem, gdyż „Army Handbook” i specjaliści od planowania okupacji z obozów w Wielkiej Brytanii spodziewały się w nich znaleźć szczerych demokratów.

Koła te — przede wszystkim kościoły — skompromitowana burżuazja niemiecka i koła przemysłowe w pierwszych miesiącach przyjęły taktykę wyczekiwania — wykazały maksimum umiejętności, aby odwieść przybyszów zza oceanu od realizacji decyzji Jaltę i Poczdamu. Znalazło to chętne ucho u wszystkich przeciwników tych decyzji, utrudniło pracę ich zwolenników.

Relacje Knappena o pierwszych kontaktach Anglosasów z przedstawicielami kościołów niemieckich, posiadających w USA opinie centrów „duchowego oporu” przeciw hitleryzmowi zawierają bezcenny materiał. Opisuje on kolejno konferencje z osobami tak znanymi jak biskup protestancki Wurm z Wirtembergii, kardynał Berlina von Preysing, czy ewangelicki biskup Berlina dr Dibelius i słynny pastor Niemöller.

Biskup Wurm, rzekoma „głowa oporu” protestantów niemieckich przeciw Hitlerowi wystąpił w r. 1945 bezpośrednio po kapitulacji z sugestiami na temat polityki amerykańskiej w Niemczech. Na jednej z pierwszych konferencji podkreślał

on wielokrotnie konieczność odbudowy kościoła w Niemczech jako fortecy przeciw lewicy niemieckiej, zalecając oparcie się władz okupacyjnych na duchowych niemieckich, „znających swe okręgi lepiej od tzw. przywódców oporu, którzy spędzili wojnę w obozach”. Biskup Dibelius na innej konferencji w czerwcu 1945 podkreślił, że Niemcy stoją przed wyborem między chrześcijaństwem i lewicą, i że w interesie Amerykanów musi leżeć oparcie się na kościołach. Podobne uwagi wyrażał kardynał Berlina von Preysing, a pastor Niemöller, głosząc przed publicznością niemiecką hasła „moralnej odpowiedzialności całych Niemiec za hitlerowskie zbrodnie wojenne” udzielał latem 1945 rad wysokim urzędnikom amerykańskim na temat strategii, jakiej należy użyć w wypadku wojny USA ze Związkiem Radzieckim. „Komentarze takie były zbalansowane — pisze Knappen — rozsądnymi uwagami o konieczności dania młodzieży niemieckiej promienia nadziei przez polepszenie sytuacji ekonomicznej Niemiec”.

Pierwsze miesiące okupacji amerykańskiej Niemiec dostarczyły wystarczającej ilości dowodów negatywnego stosunku do Poczdamu części urzędników okupacyjnych anglosaskich, naiwności i braku podstawowej wiedzy o Europie i Niemczech — reszty. Prawdopodobnie połączeniem obu był, zapomniany już dziś incydent z gen. Pattonem, dowódcą Trzeciej Armii i gubernatorem Bawarii, który na konferencji prasowej w Monachium w jesieni 1945 oświadczył, że różnica między hitlerowcami i antyfaszystami niemieckimi jest podobna różnicy między Demokratami i Republikanami w USA. Przypominając ów incydent, Knappen przyznaje otwarcie, że „sformułowanie opinii Pattona nie było specjalnie szczęśliwe, ale prawdopodobnie dwóch na trzech oficerów zarządu wojskowego amerykańskiego myślało bardzo podobnie”.

Jakże mogło być inaczej, skoro według relacji autora sześciu obozów treningowych służby okupacyjnej amerykańskiej w dziedzinie reedukacji Niemiec w Wielkiej Brytanii byli kolejno: chirurg z Minneapolis, który w armii był pułkownikiem korpusu medycznego; generał brygad ze służby czynnej, którego specjalnością przez 20 lat w USA była artyleria nadbrzeżna (Coast Artillery), wreszcie inny generał, tym razem ze służby sygnalizacyjnej. „Zaden z nich — pisze Knappen — nie miał pojęcia o administracji cywilnej ani o Niemczech i problemy polityki wychowawczej trzeba było wyjaśniać każdemu od początku”.

Uzupełnieniem tego typu wychowawców powojennych Niemiec były — przyznawali to liczni korespondenci amerykańscy — masy oficerów amerykańskiej wojennej produkcji, urzędników korporacji przemysłowych i bankowych w życiu cywilnym, którzy — niekiedy całkiem otwarcie — pilnowali głównie bezpośrednich interesów swych zwierzchników w okupowanym kraju.

Efekt ostateczny współpracy generałów artylerii nadbrzeżnej i oficerów-przemysłowców, wspartych autorytetem i poparciem kół, których działalność opisano w pierwszej części artykułu — jest powszechnie znany. Są nim Niemcy frankfurckie. Tempo ich budowy było tym szybsze, że początkowe głośne protesty rozsądnych i uczciwych Amerykanów przeciw polityce anglosaskiej w Niemczech, zaczęły cichnąć. Protestujący, jak np. płk. Bernstein, który w r. 1946 przed komisją Senatu USA sen. Kilgore'a określił politykę tę jako sprzeczną z Poczdamem i bezpieczeństwem Europy, b. zastępca prokuratora generalnego USA, John Rogge czy b. szef departamentu dekartelizacji strefy amerykańskiej, James Martin, bądź rezygnowali ze służby na znak protestu, bądź byli do rezygnacji zmuszani. Opinia amerykańska, dla której Europa i sprawy niemieckie są wciąż sprawami egzotycznymi, pod wpływem kampanii USA na rzecz „litości dla Niemiec”, przyjęła rozród wypadków jako konieczność. Na tle relacji o kościele niemieckim w książce Knappena, specjalnego posmaku nabiera fakt, że w kampanii tej jako goście kościołów amerykańskich brali udział zarówno kardynał von Preysing, jak dr Dibelius i pastor Niemöller.

W tych warunkach drogę od Poczdamu do Niemiec frankfurckich, tworzą sprzeczną z elementarnym rozsądkiem i bezpieczeństwem Europy, przebyto bez większych przeszkód. Nie dziwi to nikogo, kto przyjrzał się z bliska prehistorii polityki anglosaskiej w Niemczech pohitlerowskich, opisanej w powyższym artykule.

Mieczysław Wionczek

LEON GOMOLICKI

„WOJNAROWSKI“

(Fragment z pracy o Mickiewiczu)

1.

W „Podroży Oniegina” Puszkina opisał Wasyla Tuman-
skiego, który uzbrojony w
lorgnon spacerował samot-
nie nad morzem, a potem
wysławiał wyszukany wierszem piękne
ogrady odesskie. „Wszystko to byłoby do-
brze, — dodaje Puszkina, — gdyby tam
nie rozpościerał się dokoła nagi step.
Gdzie niedługo tylko niedawna praca zmu-
siła młode galezie, aby w dnie upalne
używały wymuszonego cienia”.

Tumanski, poeta elegijny i wielbiciel
Byrona, pracował jako urzędnik w kań-
celarii hrabiego Woroncowa, generał-gu-
bernatora Noworosji i pełnomocnego na-
miestnika Besarabii. Wiersz, za który
drwił z niego Puszkina, Tumanski napisał
w roku przyjazdu Mickiewicza do Odessy.
Otrzymałszy przez wygnańców list od
przyjaciół stołecznych (Rylejewa i Bestu-
żewa) zaprzyjaźnił się z poetą. Miał uspo-
sobienie romantyczne i był lekkomyślny
w stosunkach z ludźmi. W czasie pobytu
w Odessie Puszkina, z którym jednocześnie
rozpoczął swoją karierę urzędniczą u
Woroncowa, Tumanski zwierzał się mu
ze swoich spraw sercowych i poetyckich.
Puszkina przeczytał Tumanskiemu ukoń-
czoną wówczas „Fontannę Bakczyseraju”,
co ten natychmiast rozpapał w listach.
Puszkina w tym wypadku był specjalnie
dotknięty, ponieważ była tu zamieszana
osoba trzecia, której nazwisko starannie
ukrywał, wyrzucając z tekstu poematu
„miłosne majaczenia”. „Tu jest Tumanski,
— pisał do brata, — fajny z niego chłop,
ale czasami bredzi — np. pisze on list do
P. B., gdzie mówi między innymi o mnie:
Puszk. odkrył mi natychmiast swoje serce
i portefeuille, miłość etc... Chodzi o to, że
przeczytałem mu urwki z fontanny Bak-
czyseraju (nowego mojego poematu), mó-
wiąc, że nie chce go drukować, ponieważ
w wielu miejscach dotyczy pewnej osoby,
którą bardzo długo i bardzo głupio kocha-
łem, a nie odpowiada mi rola Petrarke. —
Tumanski wziął to za miłosne wyrzuce-
nia i wyświała mnie na Szalikowa — ra-
tunku!” (Szalikow był cłikwym sentymental-
nym pisarzem, wydawcą pisma, „Damski
Żurnal”). Istotny sens niepokoju Puszkina
polegał na tym, że od pewnego czasu
zaczął on przeżywać rozkosze sukcesu lite-
rackiego: prywatne jego listy i poufne
rozmowy niespodziewanie ukazywały się
w periodykach w działach rozmaitości.
Doszło do tego, że list jego adresowany
do Bestużewa i dotyczący właśnie drażli-
wego tematu nowego utworu ukazał się
bez wiedzy Puszkina w piśmie „Syn Oj-
czyzny” dostawszy się jakimś cudem do
rąk Bulharyna. Chcąc nie chcąc musiał
poeta liczyć się z przejawami swej gwał-
townej młodzieńczej sławy. W 1824—5
roku na rynku księgarskim z „Fontanna
Bakczyseraju” rywalizowały tylko jeszcze
dwa poematy, również mocno zabarwione
bajronizmem: „Mnich” Kozłowa, tłumacza
„Narzeczonej z Abydos” i „Wojna-
rowski” Rylejewa.

Wydanego w Moskwie na początku ro-
ku 1825 „Wojnarowskiego” napisał Ryle-
jew po swej podróży na południe Rosji i
wstąpieniu do północnego tajnego zwią-
zku, który powstał na miejscu Związku
Ocalenia (Błagodienstwijsa). W okresie
tym na początku 1823 roku Rylejew ko-
respondował z Niemcewiczem, pracując
jeszcze nad dumami historycznymi i wy-
dał pierwszy tom „Gwiazdy Polarnej”.
22 maja tegoż roku czytano początek
„Wojnarowskiego” na posiedzeniu peters-
burskiego Wolnego Towarzystwa Miłośni-
ków Piśmiennictwa. Poemat wywarł wiel-
kie wrażenie. W dziale „wiadomości róż-
nych” czasopisma „Archiwum Północne”
oraz „Syn Ojczyzny” ukazały się w spra-
wozdaniach z posiedzenia Towarzystwa
nader pochlebne wzmianki o poemacie.
Nowy przyjaciel Rylejewa, Aleksander
Bestużew pisał do Wiaziemskiego na dru-
gi dzień po tym posiedzeniu: „Zesła-
nie Rylejewa pełny jest szlachetnych
uczuci i różnych wzniosłych myśli — przy-
jęto go z serdeczną aprobatą”.

W październiku 1823 roku Rylejew pisał
do Tumanskiego do Odessy. „Wojnarow-
ski znacznie posuwa się naprzód. Ale kie-
dy i jak się skończy — sam nie wiem”.
Rylejew pracował nad poszczególnymi
epizodami poematu i zabrał się do ich
scenariusza przy końcu roku. W 1824 zaczęły
ukazywać się w periodykach fragmenty
poematu, jednocześnie Rylejew wypuścił
z rąk odpisy, które szybko rozmnożyły się
i powędrowały na prowincję. Z listu Mu-
chanowa szczegółowo omawiającego poe-

mat widzimy, że „Wojnarowskiego” czyta-
no w kijowskich kołach spiskowców, czy-
tał go Puszkina w Odessie w dniach, kiedy
przyszła wiadomość o śmierci Byrona w
Missolonghi. Rękopis kursował w oby-
dwóch stolicach Rosji i na Ukrainie; na
popołudniu dotarł aż do Kiszyniowa, skąd
Rylejew również dostawał listy o swoim
nowym utworze. Wszędzie przyjmowano
go zgodnie z intencją autora, a mianowi-
cie jako wyraz poglądów patriotyczno-re-
wolucyjnych zwróconych przeciwko tyra-
nii. Rozbieżność zdań występowała jedy-
nie w sprawach formalnych. Maskując
odważną postawę rewolucyjną, Rylejew
wolał przemawiać ustami swego bohatera
i gwoił pomyślności swoich celów agita-
cyjnych wyeliminował siebie z poematu.
Skutkiem tego w „Wojnarowskim” zyskał
przewagę element narracyjny. Opisy
przyrody syberyjskiej i opowiadanie
„szlachetnego siostrzeńca Mazepy, przyja-
ciela narodu i bojownika o wolność” o je-
go życiu składały się na wątek poematu.
Było to wówczas w okresie przyjętych w
poezji bajronicznej wylewnych inwersji
lirycznych i romantycznej egzotyki
wschodniej śmiałym nowatorstwem. Czy-
telnicy zachwycając się stroną polityczną
przyjmowali spowodowane przez nią ce-
chy nowelistyczne jako nieudolność, jako
„pustkę i nagość stylu”, jako zniweczenie
postaci bohatera bajronicznego. Mucha-
now pisał z Kijowa do Rylejewa: „W ogó-
le w twoim poemacie znajduję moc pło-
miennego uczucia. Portret Wojnarowskie-
go jest wspaniały. Wszystko to porusza u-
czucie; ale dużo nagich miejsc, które mu-

sisz upiększyć opisami przyrody. Orłow
mówi, że połączywszy twoje wzniosłe u-
czucia z romantyzmem, ozdobiłbyś nie-
zmiernie swój poemat: „Pewnie bał się on
zrobić akcję zanadto rozwlekłą, ale epizo-
dy są modne; z jego silnym uczuciem
mogłoby pokazać obraz ziemi wygnania w
barwach oryginalnych”.

Realistyczny element „Wojnarowskie-
go” został należycie oceniony bodaj że
przez jedynego Puszkina, który zachwycał
się szczegółami w opisach i wskazywał na
skrót psychologiczne, jako na oznakę
spostrzegawczości artystycznej i „wolności
syntetyki stylistycznej”. „Puszkina znajduje
wiersz „I w płaszcz szeroki owinał się”
za nie mający sobie równego, świadczący
o doskonałej wiedzy serca człowieka i
walki duszy wzniosłej z nieszczęściem”
— zdanie to powtórzył Rylejewowi Mu-
chanow. Sam Puszkina kilkakrotnie wypo-
wiedział się w sprawie poematu Rylejewa
w swoich listach do przyjaciół. Pisał: „Ten
poemat jest wprost niezbędny w naszym
piśmiennictwie” i przyznawał się, że nie
mając na wsi jego odpisu tęskni za nim.
Omawiając w liście do Wiaziemskiego
poemat Kozłowa „Mnich” przyznawał mu
przewagę w zasobie uczuci i myśli, ale —
pisał — u Rylejewa więcej „zapędu albo
popędliwości stylu. Jest u niego jakiś tam
kat z zakaszanymi rękawami, za którego
ja drogo bym zapłacił”. Podobno zwraca-
jąc autorski egzemplarz Rylejewowi ze
swoimi notatkami, Puszkina wykreślił to
miejsce o kacie i napisał na marginesie:
„sprzedaj mi ten wiersz!” Istotnie w „Poi-
tawie” naśladował to miejsce z katem

opisując stracenie Koczubeja. Z notatek
Puszkina widzimy, że sama myśl napisa-
nia „Poiławy” przyszła poecie w czasie
lektury poematu Rylejewa. „Poiława” jest
polemiczną odpowiedzią na wywyższenie
Mazepy, którego Rylejew przedstawił jak
„jakiego Katona” podług określenia Ka-
tienina. Ocena Katienina była w ogóle
zdecydowanie ujemna. Jako zwolennik
„romantyzmu narodowego”, opartego na
„duchu ludu”, zwalczał Katienin wszelkie
naśladownictwa, które wydawały się mu
powierzchownymi, wypaczającymi natu-
ralny rozwój piśmiennictwa rosyjskiego.
W tej intencji wystąpił jako zdecydowany
wróg Żukowskiego i ujemnie ocenił pier-
wsze poematy Puszkina: „Rusłana” i
„Fontannę Bakczyseraju”. O „Wojnarow-
skim” pisał w liście do Bachtina: „Wszyst-
ko to są kopie różnych utworów Byrona,
w wierszach podług nowego kroju...”

Późniejsza krytyka rosyjska idąc w śla-
dy Katienina doszukiwała się zależności
„Wojnarowskiego” — w tematyce i nawet
w konstrukcji — od „Gaiura” i „Korsar-
za”. W. Masłow w książce „Literatura-
ja diejatielnost” K. F. Rylejewa” (Kijów,
1912) udowodnił bezpośrednie zapoży-
czenia, których dokonał Rylejew korzy-
stając z „Mazepy” i „Paryżyny” Byrona.
S. Szuwałow w artykule „Dumy i poematy
Rylejewa” (zb. „Siem poetow” Moskwa,
1927) wskazywał na połączenie w „Woj-
narowskim” pierwiastków poematu baj-
ronicznego z poetyckim rodzajem dumy
historycznej. Późne daty tych wypowiedzi
najlepiej świadczą, jak długo poemat
Rylejewa znajdował się na indeksie. Pier-
wsze wydanie dzieł Rylejewa ukazało się
w 1861 roku w Lipsku, a pierwsze wyda-
nie legalne — w 1872, oczywiście „kom-
pletne” tylko z nazwy. Do tego czasu swo-
bodnie dyskutowano nad „Wojnarow-
skim” jedynie w ciągu kilku miesięcy od
czasu wyjścia poematu spod prasy drukar-
skiej (koniec stycznia) do powstania de-
kabrystów (14 grudnia) — a więc niecałe
jedenastie miesięcy. W tym właśnie okre-
sie, kiedy Mickiewicz mieszkał w Odessie.

Tumanski, który był w stałym kon-
tacie z Bestużewem i Rylejewem, po-
siadał oczywiście wczesny odpis „Wojna-
rowskiego”. Jest to tym bardziej praw-
dopodobne, że poemat czytał w Odessie
jeszcze Puszkina. W marcu 1825 roku Ry-
lejew rozesłał do swoich przyjaciół e-
gzemplarze „Wojnarowskiego”. Puszkina
otrzymał go we wsi Michajłowskoje 7
kwietnia. Językow dziękował za otrzy-
many egzemplarz 18 marca. O poemacie
pełno było wzmianek w listach i prasie.
Nawet Bulharyn, z którym Rylejew był
dawno skłócony, pochwalił „Wojnarow-
skiego” za narodowy charakter i opisy
przyrody ukraińskiej i syberyjskiej. Współ-
cześni oceniali nowy utwór Rylejewa jako
zjawisko literackie o wielkiej wadze poli-
tycznej. A. Bielajew notował w swoich
wspomnieniach, że „Wojnarowski” razem
z odą „Wolności” Puszkina w okresie przed
powstaniem dekabrystów był znany po-
wszechnie; we wszystkich kołach przyja-
cielskich i opozycyjno-politycznych po-
wtarzano te utwory („Russkaja Starina”
1881, k. III). W czasach późniejszych tra-
dycja ta zachowała się aż do połowy stu-
lecia, o czym świadczy Ogariow w swo-
im londyńskim emigracyjnym zbiorze
podziemnej literatury rosyjskiej XIX wie-
ku.

Ale wpływ „Wojnarowskiego” nie ogra-
niczył się do terenu rosyjskiego. Ślady
jego lektury, zarówno jak lektury „Fon-
tanny Bakczyseraju”, znajdujemy w u-
tworach Mickiewicza, rozpoczętych w
Odessie i skończonych w Moskwie.
Wzmiankę o poemacie Puszkina mamy
w przypisach do „Grobu Potockiej” łącznie
z wiadomością o „Podroży po Krymie”
 („Putieszestwie po Tawridie”) I. M. Mu-
rawjowa-Apostola, z której wyjątki były
przedrukowane w edycji poematu Puszkina
z 1824 roku. Z tego należałoby wnio-
skować, że Mickiewicz posługiwał się wła-
śnie tym wydaniem. „Wojnarowski” zaś
zaciążył na zasadniczym temacie „Wallen-
roda”.

Ze względu na ważkość tego zagadnie-
nia, przyjrzymy się bliżej poematowi
Rylejewa.

2.

Tak zwany „burzuazyjny” poemat
bajroniczny zjawia się w Rosji w latach
dwudziestych. Żukowski tłumaczy „Wię-
źnia Chillonu” (1821). Kozłow przekłada
„Narzeczoną z Abydos” (1823). W 1821 ro-
ku Puszkina na Krymie przy pomocy Ra-
jewskiego przeczytał „Child-Harold's Pil-

JAN ŚPIEWAK

LAMENT UTRACONEGO CZASU

Nie jestem sentymentalnym młodzieńcem,
nie karmiłem gołębi chmurami, ani
stranierałowi wieczoru nie nadawałem kształtów jaskółki.
Drzewczat czarnookich do lasów spalonych od wojny
nie posyłałem zbierać trawy zgniecionej uścisłkiem,
ani też miedzów, których kalcetwo w posąg się zmienia wysnułki
nie skazywałem, aby brzoza swych ramion galeziom oddała zwęglonym,
Dni widziałem jak palce odcięte, oczy w których ziemia wyznaczała [blekit

i rzekę w której wraki okrętów podtrzymywały tapiełce.
Nie mówicie, że stopy tancerza nie mogą być mostem pomiędzy
[zdziwieniem i smutkiem,

albo że smukłe brzoskwinie nie chylą południa do warg.
Róża oblokłem się staję albo krzemieniem rzeźbionym przez wiatr.
Jeśli granice spojżenia spłoną w deszczu lekkim
i sarna w bruk się zamieni, niech fale bezwładnych kamienie
jak zieleni albo wiewiórka odważnie szeleszcza w listowiu.
Nie mówicie, że pocisk zabija. W gnieździe żrenie kłokuje
w spojżeniu syna wyrasta, budzi się w ogniu i we śnie,
w księżycach południa i skwaru, w słońcach zawleci i śniegu
w gwiazdach westchnień spalonych, roczna tętnice, by nagle
galezą chwilać się nad tankiem i skacząc komicznie chwytac
jak kwiaty, pełni spalonych wysrzałów.

Zapłaczm nad światem,
albo wspinając się w góry jeleniom darujmy swój uśmiech
lub pochylwszy się w zieleni, rzecze zwrócić milczenie.
Krzemienie, muszle i mowy, płuczące płacz nasz niemięski,
pryskające pianą zieloną na palce w których żelazo i stal
cienie owoców odcina, aby płynęły nad nami
ogrady przejrzałych zapachów, schody znużonych błyskawie
dzwony schlastane upałem, przypływy morza suchego,
pszczoły zatrute ołowiem, maskary i muszki i ptaki cślepie.
Zapłaczm nad światem.

MOJE GŁODY

Na dnie dróg, na dnie śniegu i wiatru,
w zwiędłym nerwie kamienia i w ogniu
liści biegnących za mną bezszelastnie
pasły się głody moje.

W rozstrzelanych dotykami morza i w oddechach
chmur unoszących strumienie waszych palców,
w płonących włosach gwiazd i w płaskach
pasły się głody moje.

W czołgach porzuconych w bitwach,
w czarnych pociągach wiezionych na śmierć,
w prowadzonych na rozstrzelanie i do pieców
pasły się głody moje.

W gnijących cielskach ryb otrutych,
w sieciach rybaków wyrzucanych w głąb
wodorostów świecących żrenicami soli
pasły się głody moje.

W dłoniach, w których usta pożegnań
zanurzyły bezkształtny cień brzozy,
w gniazdach poeisków dla wróblei oślepych
pasły się głody moje.

W nocach, które rodzą pogardę i kule
w drutach kołczastych koncentracyjnych
obozów, w okopach kwitnących pszenica
pasły się głody moje.

Głody kamienia i wody, słońca i wiatru,
głody zieleni i śniegu, piasku i fali,
chleba odgrzewanego na ogniu
pasły się długo we mnie dojrzewając.

grimage" i stał się wielbicielem i naśladowcą Byrona. Wówczas władca romantycznych umysłów w Europie wydawał we Włoszech „Liberała” („Karbonariusz”) i pracował nad „Don Juanem”. Sytuacja młodego zesłańca Puszkina była nieco podobna do losu angielskiego poety-banity. Tym silniejszy wpływ wywarła na Puszkina jego namiętna i posepna poezja, której przeżycie połączyło się z wrażeniami dzikiej przyrody Kaukazu i półwyspu Tauridy. Jako plód tego okresu ukazały się dwa pierwsze oryginalne poematy bajroniczne w języku rosyjskim: „Jeniec Kaukazu” (1822) i „Fontanna Baczyszeraju” (1824). Za trzeci utwór tego rodzaju można uważać „Mnich” (1825) Iwana Kozłowa, późniejszego tłumacza Sonetów krymskich. Są to główne pozycje bajronicznej epiki rosyjskiej w jej pierwszym najbardziej czystym okresie. Wprawdzie już w „Jenicy Kaukazu” zbliża się Puszkina do tematu bajronicznego, zatrzymując się na opisach przyrody i obyczajów góralskich. W 1823 zostały skreślone pierwsze wiersze „Eugeniusza Oniegina”. Poemat ten skończony w 1830 roku może służyć jako doskonały przykład rosyjskiego poematu bajronicznego. W ciągu tych lat zakończył się proces zanikania tego przejściowego rodzaju literackiego, który wkrótce zastąpiła całkowicie powieść i nowela realistyczna. Na tej drodze można wskazać jako punkty węzłowe poematy: „Cyganie” i „Hrabia Nulin” Puszkina oraz „Eda”, „Bal” i „Nałóżnica” Baratynskiego. W „Cyganach” został zdemaskowany, podobnie jak w „Oneginie”, bohater Byrona, ta buntownicza jednostka, porywająca się własnymi siłami na potęgę zastępczego układu feudalnego. Poematy Baratynskiego były etapami beletryzacji opowiadania poetyckiego już całkowicie zbliżonego do noweli obyczajowej. „Bal” i „Nulin” połączono we wspólnym wydaniu 1827 roku, co tym mocniej akcentowało ich nową funkcję społeczną. Od bezprzedmiotowego buntu namiętnej jednostki społeczeństwo przechodziło do okresu krytycznego ustosunkowania się do rzeczywistości. Formy po-

etyckie stawały się ciasne i kępujące, nowa tendencja kontroli i różniczkowania zjawisk nie układała się w ramy poematu. W latach 30-tych proces ten dobiegał swego kresu: poemat burżuazyjny zamieniał się w opowiadanie wierszowane, takie jak np. żartobliwy „Domek w Kołomnie” Puszkina lub rudościwiec poematy Iwana Turgieniewa. Jest to ostatnia faza burżuazyjnej poezji epickiej w jej przejściu od „Henriady” do „Komedii ludzkiej”.

Jednocześnie z procesem wysychania strumienia bajronicznego powoli potęgował się nowy żywioł bardziej odpowiadający potrzebom społecznym: żywioł prozy. Już w 1824—5 latach ukazują się pierwsze powieści obyczajowe Narieźnego („Bursak”) i Pogodina („Zebra”). W 1829 sygnalizuje się one jak z rękaw sztuki mistrza. Zagłoskin naśladowca Waltera Scotta w „Młodsławskim”, Pogodin wydaje tomy powieści i opowiadań z życia ludu i mieszczan. Narieźny daje pierwszy wzór realizmu krytycznego w satyrze „Czarny rok”. Pogorielski pisze pierwszą swoją powieść obyczajową „Monastyрка”, Puszkina kreśli rozdziały „Murzyna Piotra Wielkiego”. W 1830 zostały napisane „Opowiadania Biełkina”, w 1831 zaczyna drukować swoje nowele Gogol. Jest to granica pomiędzy romantyzmem pierwszego ćwierćwiecza a realizmem; rolą drobnej szlachty a nową warstwę społeczną „raznoczyńców”; panowaniem w umysłach Schellinga a światopoglądem heglowskim.

W tym procesie „Wojnarowski” Rylejewa zajmuje miejsce osobliwe. Pisany jednocześnie z „Edą” Baratynskiego i „Bursakiem” Narieźnego łączy on pierwiastek opisowy z obyczajowym, czym zresztą nie wyróżnia się w okresie beletryzacji poematu. Oryginalne tendencje realistyczne Rylejewa przejawiają się w dążeniu do wierności w opisach przyrody syberyjskiej. Aby nie uchybić prawdzie poeta starannie wyszukiwał i badał materiały, czytając artykuły podróżników i dane etnograficzne o Jakucji. Już po napisaniu poematu szukał spotkań z ludźmi pochodzącymi z Syberii, aby przekonać się z ich sądów czy nie popełnił jakichś błędów

faktycznych. Obok lirycznych opisów Kaukazu u Puszkina i Finlandii u Baratynskiego mamy tu do czynienia z podejściem naukowym, po raz pierwszy stosowanym w poemacie. Natomiast opisy w opowiadaniu Wojnarowskiego oparł Rylejewa na badaniach folkloru ukraińskiego. Strona ta była przede wszystkim spóstrzeżona przez krytykę, która wyróżniła oryginalny „miejscowy kolor” i „narodowość” utworu.

Drugim osobliwym pierwiastkiem „Wojnarowskiego” było ostrze polityczno-agitacyjne. Bajronizm romantyczny znalazł w osobie Rylejewa swoją transpozycję polityczną, wyrażając dążenia całego pokolenia dekabrystów. Nie mając oparcia w żadnych szerszych warstwach społecznych, byli oni zdani na porywczą rozpaczliwą czyn buntującą się jednostki, nie mającej nawet dostatecznej nadziei zwycięstwa. Bohaterstwo zamyślenia protestu okupione zagładą wydawało się Rylejewowi w przeddzień powstania szczytem możliwości romantyków politycznych. Odbiło się to na patriotyczno-rewolucyjnych wypowiedziach bohatera poematu, który w walce z potęgą caratu uważał podstęp i zdradę za broń, która nie odbiera szlachetności bohaterskiemu czynowi.

Odpowiadało to sytuacji Mickiewicza, zdanego podobnie jak dekabryści na samotność w swojej nienawiści do despotyzmu. Marzenia o czynie jednostki, porywającej się na potęgę państwa feudalnego, były uderzeniem pięścią o głazy muru petersburskiego, o którym czytamy w „Droście do Rosji”.

Potem na piersiach założył ramiona i stał, dumając, i w cesarskim dworze Utkwił żrenice dwie, jako dwa noże: I był podobny wtenczas do Samsona, Gdy, zdradą wzięty i skuty więzami, Pod Filistynów dumał kolumnami.

Tu u Mickiewicza następuje bajroniczny opis „dumania” pielgrzyma: „na czoło jego, nieruchome, dumne, nagły cień opadł, jak całun na trumnę, twarz blada strasznie zaczęła się mroczyć...”. Opis ten nader charakterystyczny mówi o różnicy

klimatów romantyzmu polskiego i rosyjskiego. Możliwe, że przytoczone tu słowa Mickiewicza były napisane jeszcze w Moskwie (po ukończeniu „Wajlenroda”, przynajmniej Mickiewicz w liście do Odyńca pisanym w październiku 1827 roku do projektów nowego utworu „na bardzo rozległą skalę, i nie wiem czy kiedy będzie drukowany” — mogły to być rozdziały o drodze do Rosji i o Petersburgu, których druk był niemożliwy przed wyjazdem z granic). Już wtedy poemat rosyjski w swoim dążeniu do realizmu przeszedł w stadium „Cyganów” i „Bal”, gdy „Petersburg” Mickiewicza wciąż jeszcze tkwi w pojęciach bajronicznej jednostki, w patetycznej deklamacji Rylejewa. Aby wythumaczyć to zjawisko, należy pamiętać, że poetów rosyjskich dzieł od mentalności dekabrystów data powstania 14 grudnia, gdy Mickiewicz wciąż pozostaje na tym samym martwym punkcie swego wygnania w sytuacji wewnętrznego emigranta Rylejewa — samotnego marzyciela politycznego.

Powiązanie dekabryzmu z bajronizmem bynajmniej nie było zwrotem stylistycznym. Wówczas, kiedy Rylejewa obradował w tajnym związku spiskowców i pisał pierwsze ustępy „Wojnarowskiego” Byron udał się do Grecji, aby wziąć udział w walce o wolność przeciwko uciskowi tureckiemu. Miało to swój określony wydźwięk polityczny. Dla Anglii sprawa Grecji stanowiła jeden z pierwszych etapów w akcji zabezpieczenia dróg do kolonii. Dlatego kapitał angielski popierał powstańców występujących w roli obrońcy wolności. Karbonariusz Byron jako potomek feodalów nienawidzący kapitalistów bronił ich interesów, rzucając życie na szale powstania greckiego. Tu, w tym punkcie newralgicznym epoki w oczekiwanej krwi Grecji zbiegły się siły ideologiczne i ekonomiczne czasów pokongresowej reakcji i rodzącej się nowej potęgi światowej — kapitału. Dla drobnej szlachty rosyjskiej wehłańcującej idee wolnościowe wyzolenia naródów i zwalczania feudaliz-

(Dokończenie na str. 10)

ALEKSANDER RADISZCZEW

Przełożył Seweryn Poliak

Z „Podróży z Petersburga do Moskwy” *)

LUBANIE

CZY ZIMĄ jechałem, czyli też latem, sądzę, że to dla was obojętne. Być może i zimą i latem. Nie rzadko się zdarza to z podróżnymi: wyjeżdżają na saniach, a powracają wozami. — Latem. — Bierwionami wymoszczona droga uderzyła moje boki, wyszedłem z kibitki i poszedłem piechotą. Kiedy leżałem w kibitce, myśli moje zwrócone były ku niewymierności świata. Oderwawszy się duchem od ziemi, mniemałem, że leżę znośliwie wstrząsy kibitki. — Ale ćwiczenia duszy nie zawsze odrywają nas od cielesności, dlatego też, ażeby uchronić swe boki, poszedłem piechotą.

O kilka kroków od drogi ujrzałem orzącego niw wieśniaka. Czas był upalny. Spojrzałem na zegarek: dwadzieścia po dwunastej. — Wyjechałem w sobotę. — Dzisiaj jest święto. — Orzący wieśniak należał oczywiście do pana, który nie pobiera od niego czynszu. — Chłop orze z lekką starannością. — Sochę odwraca z lekkością podziwu godną.

— Panie Boże dopomóż — rzekłem zbliżając się do oracza, który nie zatrzymując się, kończył rozpoczętą brudę. — Panie Boże dopomóż — powtórzyłem.

— Dziękuję ci, panie — odpowiedział mi

oracz, otrząsając lemię i przenosząc sochę w inną brudę.

— Jesteś pewno heretyk, że orzesz w niedzielę.

— Nie, panie, żegnam się prostym krzyżem, odparł mi pokazując złożone trzy palce. — Ale Bóg miłościw, z głodu nie pozwala umrzeć, gdy człek ma siły i rodzinę.

— Czyżby ci całego tygodnia nie starczyło do pracy, że nawet niedzieli nie opuścisz, i to jeszcze w samo południe.

— Tydzień, panie, ma sześć dni, a my sześć razy w tygodniu chodzimy na pańszczyznę, a pod wieczór, gdy tylko dopieje pogoda, wozimy do dworu siano, które zostało w lesie; baby zaś i dziewczuchy w święta chodzą na przechadzkę do lasu na grzyby i na jagody. Daj Boże, — dodał żegnając się — aby pod wieczór dzisiaj spadł deszcz. Panie, jeżeli masz własnych chłopów, to oni o to samo modlą się do Boga.

— Nie mam, mój przyjacielu, poddanych i dlatego nikt mnie nie przeklina. Czy masz dużą rodzinę?

— Trzech synów i trzy córki. Najstarszy ma dziewięć lat.

— Jakże możesz nadeżyć z wyhodowaniem zboża, gdy masz tylko wolne święto?

— Nie same tylko święta, ale i noc mamy; gdy chłop nie jest leniwy, to z głodu nie umrze. Widzisz, panie, jeden koń odpoczywa, a gdy się ten zmęczy, wezmę drugiego; i tak praca idzie rażno.

— Czy tak samo pracujesz na swojego pana?

— Nie, panie, grzech byłoby tak samo pracować, on ma na roli sto rak dla jednej gęby, a ja mam dwie dla siedmiu. Sam, panie, policz. A gdyby człowiek padł przy pańskiej robocie, to i tak nikt mu za to nie podziękuję. Nasz pan pogłównego nie zapłaci; ani barana, ani kury, ani masła nie odstąpi. Święte życie mają nasi chłopcy tam, gdzie pan bierze czynsz, a przy tym bez pomocy rządów. Prawda, że niektórzy do brzy panowie biorą ponad trzy ruble od dynu; ale i to jest lepsze od pańszczyzny. Teraz, jak powiadają, weszło w modę oddawać wsie, jak to się mówi, w arendę. A my to nazywamy: oddać razem z głową. Głowy najemnik kupi z chłopów skórę; nawet najlepsze pory nam nie zostawia. Zimą nie puszcza nas ani na furmanki, ani do roboty do miasta. Wciąż, człeku, pracuj na niego za to, że on pogłowne za nas płaci. Najbardziej diabelski pomysł, to oddawanie własnych chłopów obcemu do robo-

ty. Na złego rządcę można choć się poskarżyć, a na najemnika komu?

— Mój przyjacielu, mylisz się, prawo zabrania dręczyć ludzi.

— Dręczyć? to prawda, ale przecież nie zechcesz, panie, obieć się w moją skórę.

Tymczasem oracz zaprzął drugiego konia do sochy i rozpoczął nową brudę, pożegnał się ze mną.

Rozmowa z wieśniakiem zbudziła we mnie mnóstwo myśli. Po pierwsze, uzmysłowilem sobie nierówność chłopackiego stanu majątkowego. Porównałem chłopów państwowych z chłopami ziemian. I jedni i drudzy mieszkają po wsiacli; lecz jedni placą określoną sumę, a inni muszą być przygotowani do płacenia takiej, jaką tylko zapragnie pan. Jedni sądzeni są przez równych sobie, a inni są martwi wobec prawa, chyba, że w sprawach kryminalnych. Rząd, który ma chronić obywatela, dopiero wówczas o nim się dowiaduje, gdy narusza on związek społeczny, kiedy się staje łotrem! Myśl owa rozpałała we mnie całą krew. — Strzeż się, srogi dziedzicu, na czoło każdego z twoich poddanych widzę oskarżenie przeciw tobie.

Pogrążony w tych rozmyśleniach, mimowoli zwróciłem wzrok na mego służącego, który siedząc przede mną w kibitce, chwiał się z boku na bok. Nagle poczułem gwałtowny mróz, który przepływał przez moją krew i pędał gorączką ku górze, zniewolił ją do rozpostarcia się na mojej twarzy. Zrobiło mi się tak wstyd, że o mało nie zaplałem. W gniewie mówilem sam do siebie: Oskarżasz dumnego pana, dręczącego chłopów swego na niwie swojej; a sam czy nie czynisz tego samego, albo jeszcze gorzej. Jakiego przestępstwa dopuścił się twój biedny Pietruszka, że bronił mu korzystać z osłody naszych kłesk, z największego daru przyrody dla nieczęśnika, ze snu.

— Otrzymuje on zapłatę, jest syty, ubrany, nigdy go nie bije, ani dyscyplina, ani batogami. (O powściągliwy człowieku!)

— I sądzisz, że kęs chleba i płaszczy z sukna dają ci prawo postępować z podobną do ciebie istotą, jak z frygą, i tym tylko się szczycisz, że nie często podbijasz ją w obrocie. Czyli wiesz, co jest napisane w pierwotnym prawie, w sercu każdego człowieka? Jeśli kogo uderzam wówczas i on mnie może uderzyć. Przypomnij sobie ów dzień, gdy Pietruszka był pijany i nie zdążył cię ubrać. Przypomnij sobie o po-

liczku, jaki mu dałeś. O, gdyby wówczas, pomimo że pijany, opamiętał się i odpowiedział ci zgodnie z twoim pytaniem! A któż ci dał władzę nad nim?

— Prawo.

— Prawo? I śmiesz wypowiadać tę świętą nazwę? Nieszczęśliwy...

Łzy popłynęły mi z oczu; i w takim stanie ducha pocztowe szkapę dociągnęły mnie do następnej stacji.

PODBEREZIE

Z trudem zdołałem się ocknąć z bohater-skiego snu, w którym tyle mi się przywidziało. — Głową miałem cięższą, niż ołów, cięższą niż miewają pijanice, którzy przez cały tydzień piją bez przerwy. Nie byłem w stanie jechać dalej i trząść się na drewnianej rozworze (kibitka moja nie miała sprężyn). Wyjąłem domowy poradnik lekarzki; zacząłem szukać, czy nie ma w nim recepty na zawrót głowy, pochodzący z majaczenia w śnie i na jawie. Choć zawsze wiozłem z sobą lekarstwa na wszelki przypadek, to jednak, jak powiada przysłowie, czasem i mądry głupio sobie pocznę; nie uchroniłem się od maligny i przeto, gdy przyjechał na stację pocztową, głowę miałem jak rzeszotę.

Przypomniałem sobie, że niegdyś świętej pamięci, pianka moja Praskowia Klementiewna, którą przezywałem Piątkową, wielką była miłośniczką kawy i powiadała, że pomaga ona na ból głowy.

— Gdy wypiję pięć kubków — mawiała — to zazwyczaj widzieć będę dzień, a bez kawy, to bym w trzy dni umarła.

Wziąłem się do lekarstwa nianki, ale ponieważ nie przywykłem pić naraz pięciu kubków, resztą poczęstowałem młodzieńca, który siedział ze mną na jednej ławce, jedno że z innego końca, pod oknem.

— Serdecznie dziękuję — rzekł, biorąc ode mnie kubek z kawą.

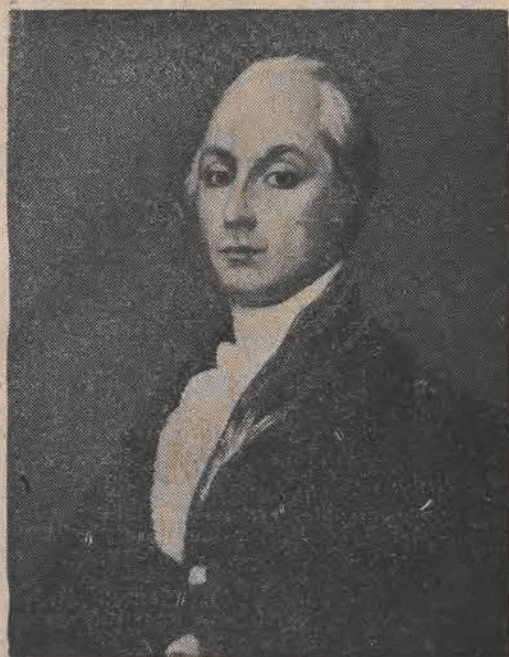
Przyjemny wygląd, nietrwożne spojrzenie, uprzejma postawa, wydawały się nie licować z długim kaftanem i ze zmoczonym kwasem chlebowym włosami. Wybac mi, czytelniku, mój wniosek, ale zrodziłem się i wzrosłem w stolicy; jeśli kto, nie ma pukli i nie jest napudrowany, to go ani na grosz nie szacuję. Jeśli i ty jesteś wiejskim prostakiem i nie pudrujesz włosów, to nie gniewaj się, gdy nie spojrzę na ciebie i przejdę obok.

Od słowa do słowa zgadłem się jakoś z nowym znajomkiem. Dowiedziałem się, iż

*) Radiszczew, Aleksander Nikołajewicz (1749—1802), jest autorem słynnej książki „Podróż z Petersburga do Moskwy”, wydanej anonimowo w 1790 r. Wychowanek uniwersytetu w Lipsku, uczeń francuskich encyklopedystów, Rousseau, Mably, Helwecjusza, a także Holbacha, stworzył Radiszczew pierwszą samodzielną rewolucyjną koncepcję przebudowy społecznej Rosji. Był wrogiem ustroju monarchistycznego, ostro przeciwstawiał się pańszczyźnie i uciskowi chłopów. Szlachcie rosyjskiej groził zemstą zbuntowanego „w obronie swoich praw naturalnych stanu wieśniaczego”. Nie na darmo Katarzyna II za „Podróż” i za włączoną do tej książki ode „Wolność” skazywał Radiszczewa na śmierć, a potem w drodze łaski zamieniając mu tę karę na dziesięć lat zesłania, widziała w nim „pierwszego orędownika Rewolucji Francuskiej w Rosji”, jak się o nim wyrażała.

„Podróż z Petersburga do Moskwy” pod względem kompozycji posiada liczne podobieństwa do „Podróży sentymentalnej” Sterne’a.

Przekład dzieła Radiszczewa ukazuje się wkrótce nakładem Spółdz. Wyd. „Książka”.



A. Radiszczew

był studentem Nowogrodzkiego Seminarium i szedł piechotą do Petersburga, aby się spotkać z wujem, który był Sekretarzem w zarządzie gubernialnym. Lecz nade wszystko pragnął znaleźć okazję do zdobycia wiedzy.

— Jak wiele jeszcze mamy braków w udostępnianiu oświaty — powiedział do mnie. Sama umiejętność języka łacińskiego nie może zadowolić żadnego nauki umysłu. Wergiliusza, Horacego, Liwiusza, a nawet Tacytę znam prawie na pamięć, ale gdy porównam wiadomości seminarzystów z tym, co miałem możność na szczęście sam poznać, to uważam naszą uczelnię za należąca do ubiegłych wieków. Znamy wszystkich autorów klasycznych, ale lepiej znamy krytyczne objaśnienia tekstów, aniżeli to, co je po dziś dzień czyni dla nas przyjemnym, co zapewniło im wieczność. Uczą nas filozofii, przechodzimy logikę, metafizykę, etykę, teologię, lecz jak powiada Kutejnik w „Niedoucuku“, dochodzimy do końca nauk filozoficznych i zwracamy wstecz. Cóż dziwnego, Arystoteles i scholastyka po dziś dzień panują w seminarjach. Na szczęście mam wstęp do domu jednego z ławników Zarządu Gubernialnego w Nowogrodzie. Miałem możność osiągnąć tam niewielką znajomość języków francuskiego i niemieckiego i korzystać z ksiąg właściciela owego domu. Jakaż to różnica w szerzeniu oświaty w naszych czasach w porównaniu z czasami, gdy w uczelniach używano jedynie języka łacińskiego! Jakże ułatwienie w nauczaniu, gdy wyklada się w języku narodowym zamiast tego, by nauki odsłaniały swe tajemnice jedynie tym, którzy znają łacinę!

— Ale dlaczego — ciągnął dalej po krótkiej przerwie — dlaczego nie tworzą u nas wyższych uczelni, w których wykładano by nauki w języku pospólnym, w języku rosyjskim? Nauka byłaby dla wszystkich przystępniejsza; oświata szybciej docierałaby do wszystkich, a o jedno pokolenie później zamiast jednego łacynisty znalazłoby się dwustu ludzi oświeconych; przynajmniej w każdym sądzie znalazłby się choć jeden sędzia, któryby rozumiał, co to jest jurisprudencja czyli nauka prawa.

— Mój Boże! — ciągnął westchnawszy głośno — gdyby przytoczyć przykłady rozważań i gadaniny naszych sędziów o sprawach sądowych! Coby powiedzieli Grocjusz, Monteskiusz, Blackstone.

— Czyś czytał Blackstone'a?

— Czytałem pierwsze dwie części przetłumaczone na język rosyjski. Nie byłoby od rzeczy zmusić naszych sędziów, aby posiadali tę książkę zamiast żywotów świętych, zmusić ich, aby częściej do niej zaglądali niż do kalendarza. I jak tu nie narzekać, — powtórzył — że nie mamy uczelni, gdzieby wykładano w języku narodowym!

Wejście poczytłona przerwało dalszy ciąg naszej rozmowy. Zdążyłem powiedzieć seminarzyście, że wkrótce spełni się jego pragnienie, że wydany już został nakaz ustanowienia nowych uniwersytetów, gdzie nauki będą wykładane zgodnie z jego pragnieniem.

— Czas, waszmość panie, czas już...

Podczas gdy płaciłem poczytłonowi za przejazd, seminarzysta wyszedł. Wychodząc opuścił niewielki zwiłek papierów. Podniosłem go i nie oddałem właścicielowi. Nie zdradzi, miły czytelniku, mojej kradzieży; pod tym warunkiem zwierzę ci, co sobie przywłaszczyłem. Gdy zaś przeczytasz, to wiem, że kradzieży mojej nie wyjawisz; albowiem nie tylko ten jest złodziejem, kto ukradł, ale i ten kto przejął, jak napisane jest w prawie rosyjskim. Przysnam, że mam nieczyste ręce; gdziekolwiek ujrzę coś nieco rozsądnego, to natychmiast ściągam;

uważaj, nie kładź źle swoich myśli. — Frzczytaj, co rzecze mój seminarzysta:

Kto świat moralny przyrównał do koła, ten wypowiedział wielką prawdę, nie uczynił nic innego, jak tylko spojrzeć na okrągły kształt ziemi i innych unoszących się w przestrzeni wielkich ciał, i wyrzekł jedynie to co widział. Czyniąc postępek w poznawaniu istoty rzeczy, śmiertelni odkrywają zapewne tajemny związek rzeczy ducha, czyli moralnych z rzeczami cielesnymi czyli naturalnymi; odkrywają, że przyczyna wszystkich przemian, przekształceń, przewrotności świata moralnego czyli duchowego zależy być może od kulistego kształtu naszego siedliska i innych należących do systemu słonecznego ciał, równie jak ono kulistych i krążących w ruchu obrotowym... Jest to podobne do rozważań Martynisty, ucznia Svedenborga... nie, mój przyjacielu! jem i piję nie tylko aby żyć, ale dlatego, że znajduję w tym niemałe zadowolenie zmysłów. I zwierzę ci się jak ojcu duchownemu, że raczej spędzę noc z ładnym dziewczęciem i usnę upojony żądzą w jej objęciach, niż zakopawszy się w Hebrajskie czy Arabskie litery, w cyfry czy Egipskie Hieroglify, zapragnę oddzielić od ciała mego ducha i błądzić po wielkich przestrzeniach niedorzecznych rozumowań, podobny do starożytnych i do nowych duchowych Witeziów. Gdy umrę, będę miał dość czasu na nienamacalność i duszyczka moja nabłaka się do syta.

Obejrzyj się wstecz. Wydaje się, że bliżej jeszcze jest ten czas, gdy panował przesąd i cały jego orszak, ciemnota, niewolnictwo, inkwizycja i licho wie co jeszcze. Jak dawno Wolter aż do zdarcia głosu nawoływał przeciw zabobonom, czy dawno to Fryderyk był zagorzałym wrogiem przesądu, zwalczając go nie tylko słowem i czynem, ale co dlań straszniejsze, przykładem panującego? Lecz na tym świecie wszystko wraca do dawnego stanu, albowiem wszystko ma swój początek w zniszczeniu. Wszystko, co wegetuje, rodzi się, rośnie, ażeby wydać na świat podobnych sobie, potem umrzeć i ustąpić im miejsca. Ludy wędrownie zbierają się w grody, zakładają państwa, dochodzą wieku męskiego, rozstawiają się, stają, wpadają w niemoc, upadają. Nie ma śladu miejsca ich bytowania; zaginą nawet ich imiona. Społeczeństwo chrześcijańskie było z początku korne, łagodne, ukrywało się po pustelniach i jaskiniach, później nabrało siły, podniosło głowę, zboczyło ze swej drogi, wpadło w przesady; szaleństwo szło drogą zwykłą dla ludów; wysunęło naczelnika, rozszerzyło jego władzę i papież stał się najpotężniejszym z panujących. Luter rozpoczął przekształcenie, uczynił rozłam, wywołał się spod jego władzy i miał wielu naśladowców. Gmach przesądów co do władzy papieża zaczął się rysować, zaczął znikać również i zabobon; prawda znalazła miłośników, zdeптаła ogromną twierdzę przesądu, ale niedługo była na tej drodze. W swobodę myśli wdało się nieokielzanie. Nie było nic świętego, porywano się na wszystko. Doszedłszy do granic możliwości, wolnomyślność cofnę się wstecz. Ta przemiana w sposobie myślenia przypadnie naszym czasom. Nie doszliśmy jeszcze do ostatniego krańca wolności myśli, lecz wielu już zaczyna zwracać się ku przesądowi. Otwórz najnowsze tajemne utwory, pomyślisz, że żyjesz w czasach scholastyki i kontrowersji słownych, gdy umysł ludzki troszczył się o wypowiedzi nie zastanawiając się nad ich sensem; gdy miłośnicy mądrości uważali za swój cel szczerze zadawać badaczom pytanie, ile dusz może się zmieścić na ostrzu igły.

Jeśli naszym potomkom przypada błędzenie, jeśli porzuciwszy naturalność, uga-

niać się będą za marzeniami, to pożyteczna byłaby praca pisarza, który by pokazał nam na przykładzie uprzednich dziejów pochód rozumu ludzkiego, kiedy otrząsnawszy mgłę przesądów, zaczął szukać prawdy aż do jej szczytu i kiedy znudzony, jakby to powiedzieć, swoim czuwaniem, znów zaczął gwałcić swe siły, nużyć się i opadać w mgły przesądów i zabobonów. Wysiłek tego pisarza nie będzie bez pożytku, albowiem obnażając drogę naszych myśli ku prawdzie i błędowi, uchroni przynajmniej niektórych od zgubnych ścieżek i przegrodzi wlot nieniewiedzy. Szczęśliwy jest pisarz, jeśli utworem swym mógł oświecić przynajmniej jednego, szczęśliwy, jeśli przynajmniej w jednym sercu posiał cnotę.

My jeszcze możemy się nazywać szczęśliwymi: albowiem nie będziemy świadkami ostatecznego shańbienia rozumnych istot. Najbliżsi nasi potomkowie mogą być jeszcze szczęśliwsi od nas. Ale opary spoczywające na obmierzłości wnoszą się już i przeznaczono jest im objąć pole widzenia. Błogosławieni, jeśli nie ujrzymy nowego Mahometa; godzina zbłąkania jeszcze się oddali. Zważ, gdy w rozważaniach, w sądach o rzeczach ducha i o rzeczach moralności zaczyna się fermentacja i gdy zjawia się mąż twardy i przedsiębiorczy, ku prawdzie czy ku pokuszeniu, wówczas następuje przemiana państw, wówczas przemiana w wyznaniach.

Nazywamy się szczęśliwymi, gdy na drabinie, po której umysł ludzki musi zejść w ciemność przesądów, możemy pokazać coś śmiesznego i uśmiechem przyczynimy się do rzeczy dobrej. Kroczyć z mędrkowania do mędrkowania, o umiłowani, uważajcie, byście nie wstąpili na drogę następujących rozważań:

Rzecz Akiba: — Wszedłszy drogą Rabbi Joszuy w miejsce święte, poznałem rzecz potrojną. Poznałem po pierwsze: nie na Wschód i nie na Zachód, lecz wystarczy obojętnie się na Północ i Południe. Poznałem po drugie: nie stojąc lecz siedząc należy się wypróżniać. Poznałem po trzecie: nie prawicą lecz lewicą należy oierać tyłek. Na co odparł Ben Hazas: — Czyżbym do tego stopnia zatracił czoło wobec swego nauczyciela, abym wypróżniał się podglądając? Odrzekł: Takie są tajemnice Zakonu; i trzeba było, abym uczynił uczynione i abym je poznał.

Patrz słownik Bella, artykuł: Akiba

NOWOGRÓD

Bądźcie dumni, chełpliwi budowniczo wie grodów, bądźcie dumni, założyciele Państw, marcie, że sława waszego imienia będzie wieczna; piętrcie kamień na kamieniu do samych chmur; wykuwajcie wyobrażenia waszych zwycięstw i napisy głoszące o waszych czynach. Zakładajcie twarde podstawy rządów przez nieodmienne prawa. Czas ostrym szeregiem zębów drwi z waszej pychy. Gdzie są mądre prawa Solonowe i Likurgowe, wolność Aten i Sparty utwierdzające? — W księgach. — A na miejscu ich pobytu pasą się niewolnicy pod berłem samowładcy. — Gdzie okazała Troja, gdzie Kartagina? — Zaledwie widać miejsce, gdzie stały dumnie. — Czy plonie tajemniczo niezniszczalna ofiara jedynej istocie w sławnych chramach starożytnego Egiptu? — Wspaniałe ich szczątki są schronieniem dla biecącego stada w czasie śródziemnego upału. Nie są zraszane radosnymi łzami dziękczynienia najwyższemu Ojcu, lecz smrodliwymi wydzielinami bydlęcych ciał. — O dumo, o wyniosłości ludzka! spojrz na to i poznaj jak jesteś pelgajaca!

Tak rozmyślając podjeżdżałem do Nowogrodu i patrzałem na mnóstwo klasztorów wokół niego położonych.

STANISŁAW PIĘTAK

PROSTA PIEŚŃ

Cicho. Gwiazda spada błękitna i oświeśla lotem najmłodsze i oświeśla lotem najmłodsze, czy tęskniące za przyszłością, czy beztroszne, tak zastygłe w zadumie nad zjawiskiem świata.

Spojrzyjcie, to widać ojczyznę. W chatkach dopala się ogień, kwiat zboża złoty chyła w księżycu. Rzeka szmerze, cienie topoli pódją od wrót, o świecie gina w śpiewie słowiczym, w łzach rozdartym.

Może harmonia zagra jeszcze i w płaszcach lekkich pomkną pary. Kwiaty ploną wonią, kolorem cieszą świat. Ta noc niech trwa! niech trwa! Pochwalam lot gwiazd, grę światła, ludzką radość, co tętni w piersi, z ziemią się łączy łzą westchnienia. Jestem wasz, syn wsi, syn pól. Nieraz na drodze przystawałem biały, w oczy obłoków śpiew, blask rzek, w słuch melodii owadów, szepł kwiatów chłonałem, błędąc od wzruszenia. Zaprawdę, jedynie jest ziemia!

Powiadają, że wszystkie te klasztory, znajdujące się nawet w odległości piętnastu wiorst od miasta, w nim się mieściły; że spoza murów jego mogło wyjść do stu tysięcy wojska. Wiadomo z kronik, że Nowogród był rządzony przez lud, Książęta niewielką posiadali tam władzę. Cała władza opierała się na naczelnikach miasta i na tysięcynikach. Lud zebrany na wiecu był właściwym Panującym. Posiadłości nowogrodzkie rozpościerały się na północy aż za Wołgę. Owego wolne Państwo należało do Związku Hanzeatyckiego. Stare przysłowie: kto może przeciw Bogu a wielkiemu Nowogrodowi — jest dowodem jego potęgi. Handel przyczynił się do jego wywyższenia. Wewnętrzne rozterki i drażniący sąsiad spowodowały jego upadek.

Na moście wyszedłem ze swej kibitki, aby nacieszyć oczy widokiem płynącego Wołchowa. Niewiele było potrzeba, aby uprzytomnić mej pamięci postępek cara Iwana Wasiljewicza podczas zdobywania Nowogrodu. Urażony oporem tej republiki, ów dumny, okrutny, lecz mądry władca, chciał ją zburzyć do podstaw. Widzę, jak stoi na moście z zaostrzonym żełęczem, jak powiadają, przynosząc w ofierze swej zapalczywości starszyznę i naczelników nowogrodzkich. Lecz jakież miał prawo srożyć się przeciwko nim; jakież miał prawo przywłaszczać sobie Nowogród? Czy to, że pierwsi wielcy książęta rosyjscy mieszkali w tym mieście? Czy, że pisał się carem Wszech Rusi? Czy też, że Nowogrodzianie byli Słowianami? Lecz pocóż prawo, gdy działa siła? Czy może ono istnieć, gdy wynik pieczętują się krwią narodów? Czy może istnieć prawo, gdy nie ma mocy na jego urzeczywistnienie? Wiele pisano o prawie narodów; często się na nie powołują; lecz nauczyciele praw nie pomyśleli, czy może być sędzia pomiędzy narodami. Gdy powstają pomiędzy nimi waśnie, gdy nienawiść lub chęć zysku rzuca je na siebie, sędzią ich jest miecz. Kto padł trupem lub został pozbawiony oręża, ten jest winien; podporządkowuje się bez szemrania temu postanowieniu i nie ma na nie apelacji. — Oto dlaczego Nowogród należał do cara Iwana Wasiljewicza. Oto dlaczego całe go zburzył, a dymiące ruiny sobie przywłaszczył.

— Potrzeba, pragnienie bezpieczeństwa i zachowania w całości buduje państwa; burza jest niezgoda, podstęp i siła. — Czymże jest prawo ludów? — Ludy, jak powiadają nauczyciele praw, mają się do siebie tak, jak jeden człowiek do drugiego w stanie naturalnym. — Pytanie: jakie są prawa człowieka w stanie naturalnym? Odpowiedź: spojrz na niego. Jest nagi, głodny, pragnący. Wszystko, co może wziąć na zaspokojenie swoich potrzeb, wszystko sobie przyswaja. Gdyby coś temu zapragnęło przeciwdziałać, zwaliłby przeskody, zburzył i osiągnie rzecz upragnioną. Pytanie: jeżeli na drodze zaspakajania swoich potrzeb weźmie w posiadanie podobnego do siebie, jeśli na przykład dwaj ludzie odczuwając głód zapragną nasycić się jednym kęsem, kto z nich ma większe prawo na jego uzyskanie? Odpowiedź: ten, kto weźmie ów kęs. Pytanie: ktoż weźmie ów kęs? Odpowiedź: ten, kto jest silniejszy. — Czyż to jest prawo naturalne? Czyż to jest podstawą prawa ludów! — przykłady wszystkich czasów świadczą, że prawo bez siły było zawsze uważane w wykonaniu za pusty dźwięk. — Pytanie: co jest prawem obywatelskim? Odpowiedź: ten, kto jedzie pocztą, nie zajmuje się głupstwami i myślą, jakby tu jak najszybciej zdobyć konie.

Z KRONIKI NOWOGRODZKIEJ

Nowogrodzianie prowadzili wojnę z wielkim księciem Jarosławem Jarosławowiczem i zawarli z nim piśmienny pokój.

Nowogrodzianie sporządzili pismo dla obrony swoich swobód i potwierdzili je pięćdziesięcioma ośmioma pieczęciami.

Nowogrodzianie zakazali u siebie obiegu bitej monety wprowadzonej przez Tatarów.

Nowogrodzianie w 1420 roku zaczęli bić własną monetę.

Nowogród należał do Związku Hanzeatyckiego.

W Nowogrodzie był dzwon, na dźwięk którego lud zbierał się na wiec, aby sądzić o rzeczach społecznych.

Car Iwan odebrał Nowogrodzianom pismo i dzwon.

A później. W roku 1500 — w roku 1600 — w roku 1700 — Nowogród stał na dawnym miejscu.

Lecz nie należy wciąż myśleć o rzeczach dawnych, nie należy wciąż myśleć o dniu jutrzejszym. Gdy bezustannie będę patrzył w niebo, nie patrząc na to, co mam pod nogami, to wkrótce się potknę i wpadnę w błoto... tak sobie rozmyślałem. Choćby człowiek nie wiem jak żałował, to Nowogrodu tak jak dawniej nie załadni. A dalej, jak Bóg da.

Aleksander Radiszczew
przełożył Seweryn Pollak

STANISŁAW WYGODZKI

Żyję ci wyspo dumna
jednej nocy Warszawy,
kroku wrogiej kolumny,
pieśni wrogiej i wrzawy,
twoim wyniosłym przemysłem,
rękodzielnictwu i szkolom
nocy co była nad Wisłą
w sercach, domach, kościołach,
wioskom uśpionym i miastom
jednego mrocznego roku
zgłiszcz i ruin i chwastów
w morzu ciężkich obłoków,
po nocy chmurnej i głuchej
martwego, sinego ranka
jednego domu na Szucha,
jednego czarnego Majdanka,
jednego nagłego żniwa
ostrych, koszących lotów
nad brukiem tych Tel-Awiów
za pracy wyrostłych i potu,
takiego gniewu i żalu,
takiej żałości i bólu,
jak wtedy gdy w Jeruzalem
bomby twe biły i kule
o, wtedy pośpiesz z pomocą
nie tylko bólem i gniewem,
lecz także tą czarną nocą
co teraz mym wierszem śpiewa,

STANISŁAW ZIELIŃSKI

rys. K. Sosnowski

O P O W I A D A N I A

DWIE WIOSNY

Wiosna była już w całej pełni. — Ciepło obezwładniające powietrze płynęło swobodnie przez otwarte okna wyplerając z izby zakisły zimowy zapach. Słońce przygrzewało coraz młej, śnieg uciekał coraz śpieszniej na stoki gór, obóz porastał świeżą zieloną trawką. A końca wojny, jak nie było widać w roku poprzednim, tak i tej wiosny wypatrywaliśmy go napróżno! Więc poci wykreślali z żalem słowo „RADOSNA” i z goryczą wtykali w spłodzone zimą wierszyska nowe, prawie jesienne rymy: ŻAŁOSNA, KROSNA, SPROSNA. — Politycy obozowi z wrodzoną im lekkością obyczajów i nieposzanowaniem pobożnych życzeń jenieckiego społeczeństwa przesunęli wiosenny termin aż na odległą jesień.

Zbyt żałosna nie była jednak ta wiosna: sojusznicy ratowali nadwątloną opinię nadsyłając pokaźne zapasy jedla w opatrzonych barwnymi nalepkami puszkach. Tak więc niepowodzenia jugosłowiańskie zrównoważyła wołowina z Argentyny, a zajęcie Aten — egipski ryż z prawdziwym egzotycznym mulem z Nilu. Czekaliśmy zatem jesieni dzieląc radość powracającego w domowe pielesze Negusa.

— Będzie tak z nami — mówili jency z rezygnacją — jak z tymi gorliwymi wierzniymi w kościele. Pierwsi weszli, a ostatni wyjdą!

Wiosna i paczki odrodziły przygaszoną przez mrozy krzepę. Żądza czynu rozpieła mundury. Dźwięk nie było, ruszono więc spolem na rolę.

Pierwsi wylegli z nasłaktych zaduchem izb brydzący i spowinowaceni z nimi pokrzyścy. Za nimi pociągnęło sznurem dwuklasowe przedszkole, ci od „tysiącza” i tamci od „świnki”. Karczmarze usadowili się zespółami pod ścianami baraków i żwawo zabrali się do pracy. Wokół nich snuli się opętańcy językowi, głuśiąc monotonnym bełkotem obcych słówek najpikantniejsze odzwania licytacyjne.

Niedługo cieszyli się jedni i drudzy. — Rolnicy zwarta lawą wyparli ich z pod baraków na wysypańskie fioletowym żużlem ścieżki. Zabrzęczały pożyczone od szkopów łopaty, zahrobotała przesypanya ziemia. Grzmiały gromkie zawołania:

— Panowie! Na dwa sztychy!

— Kopać?

— Kopać! Kopać!

Nie obeszło się bez dasów i swarów przy podziale wąskiego pasa ziemi ciągnącego się wzdłuż baraku. Plotkami z patyków i kamieni rozgrodzono miniaturowe ogródki. Poważni jency nie brali udziału w tym wiosennym szaleństwie. Przed południem wylegiwali się w słońcu, po obiedzie pitrasili wymyślne potrawy z zamorskich darów i z narodową swadą rozprawiali się z najzawilszymi zagadnieniami polityki wojennej.

Przez ścianę sąsiadowałem z dwoma starszymi panami. Gospodarowali na działce trzy łroki szerokiej i ze czterech długiej. — Prycza moja dotykała ściany, na pięcu bulgotał wesoło ryż, z za okna słycać było pełne troski głosy:

— Jałowa gleba, panie kolego.

— Podgórze, panie kapitanie, podgórze, kamienie, owies tu sadzić, nie jarzynny.

— Słusznie, słusznie, trzeba było zasiać płatki owsiane! Ech, taki już nasz los! Wszędzie kamienie! Zobaczeć, jak tam nasz groszek.

Chwilę panowała cisza. Porucznik grzebał patykami w ziemi, kapitan z notesem w ręku czekał. Co dnia zapisywał uwagi o postępach rzodkiewki i groszku.

— Pęka!

— Jakto pęka?

— Zwyczajnie, z boku! Inne ziarnka też popękane!

— Ładna historia! Cały zasiew na nie! Byłoby tego na dwie pełne miski zupy! Pokażcie porucznikowi mnie...

— Ha! Rzeczywiście. Dajcie mi jeszcze parę ziarenek... — Oglądali, porównywali, wreszcie zdenerwowani poszli do Prezesa po radę.

Innym działkowiczom również szło nie tego. Na sąsiedniej działce gruby major opłakiwał szczerze zasianą manną kaszkę. Nie tylko, że nie wschodziła, lecz nawet nie można było się jej doszukać w wilgotnej ziemi! Prezes Zgrupowania Rolnego pouczał, wyjaśniał, doradzał i podtrzymywał na duchu zniechęconych niepowodzeniami członków. Przetrwali jednak trudny początek, a bujna zielen, którą pokryły się grządki wynagrodziła im goręć pierwszych doświadczeń.

Słońce paliło prawie lipcowym żarem, śniegi skryły się w ocienione szpary żlebów. Rzodkiewki, groszki i pomidory pięły się odważnie w górę, codziennie zieleniejąc, codziennie okazując. Aż pewnego dnia moi sąsiedzi zatrzęśli się z podniecenia. Coś niesamowitego działo się w ich ogródku! Kapitan wołał do porucznika:

— To niemożliwe! Mierz pan jeszcze raz!

— Z całą pewnością dwadzieścia!

— Jakże dwadzieścia! To wczoraj było dwadzieścia i jeden, a pan mi dziś mówi: dwadzieścia! Pomidor to nie kartofel, żeby w korzeń rósł. Pańska miarka do bani, ot co, poruczniku.

— Panie kapitanie, zawsze tą miarką...

— Może zawsze, ale dziś się nie zgadza! Nie zgadza się z zapisem w notesie! Ta rzodkiewka to jakby w ziemię szła, co jest do licha!

— Nam tu ktoś figle płata!

— Figle? To barłożenie i świństwo! Kto mieszka w tej sali? — dodał ciszej — Acha... Chodźmy do Prezesa, on ma przedwojenną miarę.

Sprawa nabrała rozgłosu. Na wielu grządkach stwierdzono niezbitie niepokojące zachowanie się młodych jarzynek. Wstały w ziemię, lub raczej ziemia rosła! Pęczniała i zasypywała delikatne pędy roślinek.

— Ziemia rośnie! — wołali przerażeni rolnicy.

— Zupełnie zrozumiałe, — odpowiadali brydzący — pod wpływem ciepła rozszerza się jak każde ciało...

— Zgoda! Czemż jednak rzodkiewki nie utrzymują się na powierzchni? A pomidory? A groch?

— Grawitacja!

— Co!

Wychyliłem się przez okno. Kapitan był czerwony, jak indor w żalotach, porucznik trupał błąd. Powiedziałem łagodnie:

— Drodzy panowie, jeżdźcie ze słońca, dziś jest niezwykle silne, o tu, w cień.

Kapitan tylko czekał na zaczepkę! Huknął na mnie z zawodową wprawą.

— Coś pan narobił nam w ogródku! Co?

— Ja? Stanowczo nie! Rano był tu Niemiec z psem, może pies?

— E! — machnął ręką i obydwa polecili w dyrdy do Prezesa.

Prezes, wąsaty podporucznik z piechoty, rezerwista, słuchał utyskiwań na pęczniającą ziemię i beznadziejnie rozkładal ręce. Do podporucznika przybiegali spoceni kapitanowie, majorowie, ba, nawet jeden podpułkownik prosił o radę w sprawie pomidorów! Do tego doszło w niewoli! Obóz wykoślawiał charakter i łamał bezlitośnie najtwardsze zdawaćby się mogło przedwojenne zasady.

Zwołano Walne Zebranie. Spodziewano się, że zaproszony Profesor rzuci nieco światła na tajemnicze wypadki zaobserwowane na działkach. Oczekiwano rady, która uratowała zagrożone rzodkiewki i po-

midory. W świetlicy było rojno i gwarno, upał był tegi. Prócz rolników widać było kilkunastu ciekawskich pechających się bezczelnie w stronę stolika Profesora. Głos prelegenta ginał w upalnej atmosferze, ledwo co było słycać.

— Fatalna akustyka! — pomyślałem za sobą znajomy głos porucznika z działki pod oknem. Kapitan pociągnął nosem.

— Ja nie czuję! — odpowiedział zdecydowanie.

Liczyby rzucane przez Profesora były oszłamajające i budziły niepokój wśród słuchaczy.

— Promień ziemi — ciągnął Profesor nie zrażając się gwarem — wynosi co prawda aż 6378 kilometrów...

Głośnie — Aaaaa — potoczyło się od gęby do gęby.

— ...lecz skorupa ziemi ma zaledwie 60 kilometrów grubości...

Kapitan nie wytrzymał i zawołał:

— To skandal!

— ...temperaturę jądra obliczają jedni na 5 tysięcy stopni, inni natomiast są zdania, że wynosi ona co najmniej 10 tysięcy stopni...

— Prosimy mówić na temat! — wołali zniecierpliwieni rolnicy. — Dość o jądrach! Ziemia i jej wpływ na rzodkiewki! Tego chcemy! Dlaczego puchnie!!

— ...wulkany czerpią swą energię prawdopodobnie z warstw ziemi nie głębszych, jak 30 do 70-ciu kilometrów...

— Jakto prawdopodobnie! Są wulkany, czy nie?!

— ...co 14-ście godzin jest w jakimś punkcie ziemi trzęsienie spowodowane...

— Nareszcie! Słuchajcie! Słuchajcie!

— ...a ogniska trzęsień znajdują się na różnych głębokościach. I tak jedno z nich, pod Oceanem Spokojnym, tkwi w warstwie płaszczu ziemskiego; gdzieś na głębokości 700-set kilometrów...

— Dostyc, dostyc, panowie! Idziemy stąd! Szkoda czasu na słuchanie niesprawdzonych bredni o tym, co się dzieje 700 kilometrów pod oceanem! Nas obchodzi to, co się dzieje tu, szanowny panie!

Rozgoryczeni i zawiedzeni opuściliśmy świetlicę. Wokół Profesora pozostało zaledwie kilku entuzjastów wiedzy zasypujących go pytaniami w rodaju: wpływ księżyca na rozrodczość trzody chlewnej. Uznano Profesora za skończonoego matola, w jego prace odkrywcze w Egipcie przestano wierzyć, a natomiast zupełnie głośno powtarzano, że w pierwszych dniach niewoli ukradł porcję chleba kadetowi Kłapusiewiczowi.

— A zaupę, to też dzieł nieuczone! Do każdej paczki nos wścił, aż człowieki obrzydzenie bierze, a o ziemi mówi prawdopodobnie! — wołał rozsierdzony kapitan.

Ziemia była w porządku. Winni byli marynarze, nie głębokie ogniska trzęsień. W dwa dni po pogadance pękła z hukiem bomba sensacji i kubek pomyj niemieckiej złości wylał się na obóz.

Uciekło dziesięciu oficerów marynarki. Podkop był wspaniały! Oświetlony elektrycznością, podparty deskami, były nawet rowki odwadniające, słowem majstersztyk saperskiej roboty! Nad czarnym kwadratem wiazu tłoczyli się żołnierze z generałem i gestapowcy z psem. Obok dziury w podłodze leżała kolorowo ubrana lalka, jakich wiele można było kupić w tym czasie w obozowej kancynie. Pies obwąchał lalkę ciekawie, lecz rozszłoszczony gestapowiec kopnął ją wściekle w kąt. Pierwsi zeszli w głąb dwaj cywile z psem, za nimi żołnierze z pistoletami, potem sam generał w kusej pelerynie. Wyleźli wszyscy w małej kępie krzaków — za drutami. Niemcy otrzepali mundury z wilgotnej ziemi, pies puszczony ze smyczy rzucił się ku pobliskim drzewom. Zrobił psi-psi i zaszczał z ulgą. Szkopcy wrócili do izby. Badali ściany, mierzyli dziurę. Za zbiegami ruszyły patrol wosaty strzelców górskich i młodzi ochotnicy z Hitlerjugend. Pościg! W izbie gestapowcy dobrali się do lalki. Pod sukienką tkwiła przypięta szpilka karteczka. Poślano po tłumacza. Nareszcie ślad!

— Nie bądź ciekawy

Szkopie kaprawy!

Przetłumaczył cicho tłumacz. Kaprawy był komendant obozu, generał.

Podkop zasypało, rolnicy powrócili do pracy. Rzodkiewki rosły, ziemia nie pęczniała.

— Ot, widzicie, panie kolego, co to za ludzie — wzdychał z goryczą kapitan pod oknem.

— Tak, tak, panie kapitanie, toż mogli ziemię sypać do śmietnika, do ustępów, na ścieżki wreszcie.

— Nie! — Oni musieli zapaskudzić nam ogródki! Niezwykły płon wytrwałej pracy! Na nasze rzodkiewki!

— Teraz będzie już spokój.

— Ej, kolego, nie mówcie hop! Z tym naszym narodkiem nigdy nie wiadomo! Jak tam pomidory?

— Dwadzieścia pięć centymetrów.

— Więc piszemy: pięty, pomidory — 25 cm.

Niemcy pokrzyżowali plany działkowiczów. Ani kapitan, ani jego sąsiedzi nie zebraли pięknie zapowiadających się pionów. Przenoszono nas do innego obozu! Na nasze miejsca mieli przyjsie oficerowie francuscy, tak przynajmniej głosiła obozowa plotka. Objuczeni tobołkami maszerowaliśmy smętnie za bramę. Za nami pozostały przytulne, czyste baraki i grządki ogródków. Wśród pomidorów, grochu, cebuli i rzodkiewek bledły się wspomnieniem małe tabliczki z takimi mniej więcej napisami:

TOMATES! par cmdt. E. M. (POLOGNE)	POIS! par capt. d'art. (POLOGNE)	RADIS! par Asp. S. Z. (Varsovia)
---	---	---

Obciążony nadmiernie, zapchany bankami z benzyną, skrzynkami z jedzeniem i tobołami z pościelą, jeep pędził z wysiłkiem po wijącej się serpentynie z sosob. Nakładaliśmy sporo drogi, lecz chęć zobaczenia znajomych, z którymi spędziło się nie jeden rok razem i nie jedną zjadło się miskę kaszy, była zbyt silna, by się jej oprzeć. Przynagleń kierowcę i niecierpliwie zerkałem na zegarek. Silnik buczał i coraz bardziej się grzał.

Ledwo wjechaliśmy do obozu a już oblepił jeepa tłum i posypały się lawiną pytania. Moi towarzysze podróży rozbiegli się szukając swych krewnych, ja wypatrywałem znajome twarze i usiłowałem opędzić się przed pytaniami.

— Jakże macie czołgi?

— Ile? Kiedy przyjeżdżacie po nas?

— Dlaczego paczki teraz nie dochodzą?

— Czy strzelcy konni mają ten sam porczyk, co przed wojną?

— Co to za pułk Złotych Huzarów?!

Nigdy takiego nie było w armii!

— Czy nosicie rogatywki?

— Czy Kromwele są większe od Szymanów?

— Czy to prawda, że Kaszka dostał pełnego pułkownika? Za co?!

— Czy będą awanse dla opóźnionych?

Kiedy?

Grubas w zielonym swetrze pociągnął mnie za rękę. Znajoma gęba uśmiechała się miłe.

— Chodź pan ze mną. Tu pana zamęczą pytaniami, o każde głupstwo będą wypytawać się piętnaście razy. Pan sobie mnie przypomnia?

— Niebardzo, ale na pewno... — padłszy jednak w objęcia i wycalowali się z głośnym emokaniem.

— Pewnie, pewnie, spory kawał czasu. To przecież ja posadziłem pana o narobie nie nam w rzodkiewkę! Zresztą, źle mnie pan wtedy zrozumiał...

— Naturalnie rzodkiewka! — Pamiętam! — jeszcze wylewniej uściślaliśmy się. Kapitan ciągnął mnie w stronę baraku.

— Ci ludzie proszę pana, zupełnie stracili poczucie rzeczywistości, co? obóz, pan zna to sam doskonale, pan rozumie. Pytają o rogatywki, proporczyki. Pan znał tego Kaszkę? Straszny cymbał, dziwię się, że awansował. Na pewno dopiero po śmierci Sikorskiego wypłynął. Już niedaleko. Pokażę panu coś wspaniałego! O, to już tu!

Staliśmy nad niewielką grządką. Poczułem, że robi mi się słabo, spojrzalem mokry od zimnego potu na wieże strażnicze: puste... Więc jednak to już minęło, jak zły sen. Obóz to przeszłość, koszmarna przeszłość, lecz na grządce... Spojrzałem uważnie na zielone liście pod nogami. Nie mogłem się mylić!

— Jakże się panu podoba? — powtórzył kapitan ze zniecierpliwieniem. Schylił się i wyrwał z ziemi wielką okazałą rzodkiewkę.

— To jest owoc, co? — otrzepał ją starannie i podsunął mi pod nos — Melon, panie! A — na — na — sik! Dopiero w tym roku osiągnąłem takie wyniki! Ja jeden w całym obozie! Przez nawożenie... — dodał ciszej rozglądając się niespokojnie wokół.

— Rzeczywiście... — bąknąłem — wspaniały okaz.

— Cieszę się, że ocenia pan mój wysiłek. Wspaniały pion, wspaniała wiosna! Cudowny rok! Prawda?

— Prawda! — powiedziałem z przekonaniem.

Wiosna była naprawdę niezwykła! Rok też — czterdziesty piąty!



RĘKAWICZKA

Płomień kaganka rzucił żółte plamy światła na stół i twarze siedzących na przeciw siebie mężczyzn. Nasłonięty tuszem knot palił się nierówno. Cienie przy ludzi drgały na ścianach i suficie. W ciemne zapocone okno zacinął deszcz drobnymi strużkami wody. Szara, listopadowa plucha.

Drzwi były uchylone. Gdzieś z głębi mrocznego korytarza zbliżały się ku izbie ciche, równo odmierzane, kroki. Siedzący przy stole podnieśli głowy. Nadsłuchiwali wpatrzyli w czarny prostokąt drzwi. Coraz wyraźniej słyszeli szelest filcowych pantofli i jednostajnie wymawiane liczby:

— „tysiąc pięćset sześćdziesiąt pięć, tysiąc pięćset sześćdziesiąt sześć, tysiąc pięćset sześćdziesiąt siedem...”

Na chwilę zadudniły mocniej przy wejściu i oddaliły się ciągnąc za sobą nieprzerwany ciąg liczb.

— „tysiąc pięćset sześćdziesiąt osiem, tysiąc pięćset sześćdziesiąt...”

Mężczyzna zwrócił twarzą do drzwi był wysoki i chudy. Na głowie miał wełnianą czapkę z jaskrawym czerwonym pompomem. Ubrany był w szarą sukienną bluzę z czerwonym stojącym kołnierzem i zielonymi naramiennikami. Wokół szyi owinał dwukrotnie ciepły szalik w pasowe i zielone pasy — w izbie było chłodno.

Kaganek zaskwierczał i smużka kopcia poczęła lizać grzejącą się puszkę z wodą umocowaną nad kuchenką. Czerwony pompom poruszył się niespokojnie. Właściciel kuchenki pochylił się niżej nad stołem i kawaleczkiem drutu zgarniał ostrożnie narosłe na knocie sadze.

Siedzący naprzeciw kapitan był równie wysoki, jak chudy major, lecz tęższej tuższy. Siwa bujna czupryna odbijała od pełnej czerwonej twarzy. Od kilkunastu minut dłuhał bez rezultatu przy swej kuchence. Wreszcie zniechęcony odsunął puszkę i odłożył sezyoryk.

— Wasza, panie majorze, ładnie się pali, a moja coś nie bardzo, nie bardzo.

— Może palicie niemiecką „prymkę”? Dajcie trochę amerykańskiej. Ta niemiecka margaryna kiepska, jak i oni sami.

— Widać. Mówił mi Wybraniec, że „prymka” jest z węgla, to się powinna palić prima, he, he.

— Et. Wy, kapitanie zawsze z tym swoim Wybraniem! Cały dzień u was Wybraniec, Wybraniec i Wybraniec! Wielki znawca! On mi też mówił, że te nasze mydelniczki i kubki, to też...

— Z węgla.

— Nie. Z ekskrementów.

— Z czego panie majorze?!

— Z gówna, kapitanie, z gówna!

Woda w puszcze zaczęła bulgotać. Major wysypał do kubka łyżeczkę brązowego proszku.

— Ta jest dużo lepsza od tych w czerwonych pudełkach.

— Tak, można nawet zostawić otwartą puszkę i nie kamienieje w wilgoci.

— Jeśli macie ochotę na kawkę, to chętnie służę wodą.

— Ej nie. Skarpeteczki czas przeprać. Poproszę chyba majora Pęczka. On ma dobrą fetówkę, wiecie, taka ulepszona na dwa knoty.

Kapitan się podniósł i hałasując szabotami ruszył do drzwi.

— Panie majorze, pożyczcie mi swej fetówki...

— Tysiąc sześćset osiemdziesiąt dwa, — bo moja nie pali... a ja skarpeteczki właśnie...

— Tysiąc sześćset osiemdziesiąt trzy! Dajcie mi chwilę spokojnie pospacerować, kapitanie! Cały dzień człowiek haruje i jeszcze teraz wy z tą swoją fetówką!

— Chciałem pożyczyc, bo moja...

— Tysiąc sześćset osiemdziesiąt cztery! Kapitan wrócił do stołu. Major łykał gorącą, aromatyczną kawę.

— No i co?

— At, zdenerwowany czegoś.

— Widzicie — spaceruje. Ile naliczył?

Tysiąc sześćset osiemdziesiąt cztery kroki, tak? No, to czekajcie, na 1702 jest kawiarnia, wtedy przyjdzie na kawę. Przecież to jego codzienny spacer z Gisz do Komendy Miasta. Dziwicie się, jakbyście pierwszy dzień tu byli!

— A ja panu, panie majorze, mówię, że nasz majorzek coś już fiu — bądzi! Co te lata z ludzi robią! Mój Ty Boże!

— Mają teraz huk roboty w Operacyjnym. U nas to samo. Ledwo człowiek obiad upitras i już w galop. To nie to, co u was w tym waszym Urzędzie Płatniczym.

— Ej! Majorze! Co to za przytyki!



— A pewnie! Taka to wasza praca. Trzy dni temu wysłałem pieniądze, czternaście marek, do bloku XV-tego, pokój 303 a. Dla majora Fafła.

— Przez Wydział Rozrachunków Wewnętrznych?

— Naturalnie!

— Formularze pan major wypełnił?

— Tak „A” i „B”! I do dziś major Fafel pieniędzy nie otrzymał! — chudy major cisnął po prostu te słowa w twarz kapitanowi. Kapitan schylił głowę i milczał chwilę.

— A, a skąd pan major wie, że pieniądze nie doręczono?

— Właśnie dziś byłem u Fafła, zresztą w innej sprawie, i on sam mi oświadczył, że pieniądze jeszcze nie nadeszły!

— Najdalej jutro, nie, w poniedziałek będą na miejscu!

— Mam nadzieję.

— Tysiąc siedemset dwa! — W progu stał trzeci współtowarzysz, major Pęczek.

— Pół czarnej! — zawołał wesoło do chudego majora. Podszedł do stołu i przyjął podany mu kubek. — Dobra! — wypił jeszcze łyk. — Doskonała! Aha! — przypomniał sobie — Kapitanie, teraz służę bardzo chętnie. Fetówka jest w szafce, na półce, o tam właśnie na prawo. Doskonała kawka, Kaziczku! — poglądał pieszczotliwie wełnianą czapkę.

— Koniec spaceru, Wicusiu? — zapytał chudy major.

— Tak, czuję się kiepsko. Należy mi kawy.

Kapitan ustawił na stole kuchenkę Pęczka i szukał zapalaka.

— A to wariat — mruczał do siebie — zupełny wariat, 2564 kroki w jedną stronę, spory spacer. I spowrotem! At, wariat.

W korytarz zadudniły nowe, szybkie kroki.

— Czołem! — czwarty mieszkaniec izby witał się ze swymi kolegami. Kapitan Ku-

las był niski i bardzo szczupły. Czarny wąsik otulał drobne, kobiece wargi. Sienkiewicz był ulubionym pisarzem Kulasa, a po stać do której się sam najchętniej porównywał — Pan Wołodyjowski.

Siwy kapitan nie odpowiedział na powitanie swego sąsiada z górnej przeczki. Nie rozmawiali ze sobą blisko dwa lata. Doskonale pamiętał tę chwilę. Dzielił chleb z Kulasem przypatrywał się, jak on wymierza linijką nieforemny bochenek.

— Patrzcie kolego — powiedział wtedy Kulasa — ile oni syją teraz tych lupin z kasztanów. U nas dawali na podsypkę otręby.

— To nie są mielone lupiny kasztanów, lecz trociny.

— Kasztany! Patrzcie, jaki kolor!

— Raz jeszcze wam mówię: trociny. Dobro mielone trociny. Z olchy.

— Pojęcia nie macie o tym!

— Czego?!

— Pojęcia!!

To były ostatnie słowa, jakie zamienili ze sobą. Zaraz po tym starciu podzielono stół wstażkami papieru na cztery równe prostokąty. Od tego czasu każdy gospodarzył na swym polu. W piątek mył stół wszyscy, ciepłą wodą z mydłem, każdy w swoich granicach.

— A to cymbał! — myślał sobie siwy kapitan, ilekroć widział Kulasa — przecież ta podsypka naprawdę z olchy! Pytałem kucharza, mówi: z olchy!

Kulas zdjął półówkę i cisnął z rozmachem na przeczce.

— Stało się! — wyrzucił nowinę w mrok izby — Mikołajczyk!

— Co?! Zginął w katastrofie?

— Ustąpił!

— Kiedy? Dlaczego?

— Miesiąc temu! Jutro podamy w do-

datku Biuletynu!

— Co za zmiany! Toż to obala cały układ sił w obozie!

— Naturalnie! Mówi się już, że i pozycja generała nie jest taka mocna... — do-

kończył zniżając głos.

Kulas rozpiął płaszcz, a rękawiczki cisnął na stół. Upadły na biały pas graniczny dzielący jego część stołu od części siwego kapitana. Podniecony nowinami ze świata, rozgorączkowany — przeoczył, że palce rękawiczki znalazły się już w prostokącie jego przeciwnika. Uszło to uwadze obu majorów, lecz siwy był czujny! Jak lis! Rozognionym wzrokiem wpatrywał się w czerniejącą na swoim polu palec. Siegały bezczelnie przez granicę, jak ręka złodzieja sięga do cudzej kieszeni. Kapitan skoczył do szafki. Już się pochylił nad stołem! W oliwkowym świetle błysnęły krwa-

wo wielkie nożyce o cienkich końcach! Jeszcze sekunda i dopełni się zemsta!

— Ciach pałaszem! — wrzasnął i równie mocno z papierową granicą obciął trzy drapieżne palce wełnianej rękawiczki.

Stanisław Zieliński

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Na marginesie XXV tomu „Nauki Polskiej” *)

RYTM ROZWOJU nauki jest zasadniczo ten sam, co rytm rozwoju społeczeństwa. Krzywa rozwoju myśli badawczej nie jest wstępującą linią prostą znaczącą postęp gromadzenia faktów i krytycznego oczyszczania teorii. Rozwój nauki nie da się porównać do rzeki płynącej ciągle naprzód tym samym coraz szerszym i coraz głębszym łożyskiem. Myśl teoretyczna przeżywa historyczne okresy dekadencji, odradza się poprzez rewolucyjne przełomy. Nie stanowi nieprzerwanego ciągu, gdzie każdy krok nowy tłumaczy się bez reszty poprzednim. Nauka w swoich dziejach zna wkłady twórcze, zna przykłady nowatorstwa — poczynającego epokę nową, naukę nową w całym tego słowa znaczeniu, nowatorstwa, które umie radykalnie oczyścić dorobek przeszłości z tego co przestarzałe, a przyjąć natomiast i podnieść na wyższy poziom wartości trwałe. Taką współcześnie jest twórcza rola marksizmu w historii wiedzy ludzkiej.

Nowy okres dziejów Polski, który zapoczątkowały powojenne reformy demokracji ludowej postawił nowe zadania przed nauką polską, przed humanistyką polską w szczególności. Tyle twórczego wysiłku, ile włożyły polskie masy ludowe w odbudowę i przebudowę życia zbiorowego musi włożyć i polska myśl badawcza w odbudowę i przebudowę swoich podstaw metodologicznych i swoich rezultatów teoretycznych.

Humanistyka polska w epoce imperializmu ma obok poważnych osiągnięć, obok kontynuacji tradycyjnych trudów, obok bogactw nagromadzonych spostrzeżeń — także wiele braków zdeterminowanych przez ogólny kryzys kultury mieszczańskiej w okresie rozkładu kapitalizmu.

Oblicze naszej humanistyki, które ukształtowało się w ciągu ostatnich 50 lat — nie uległo zasadniczej zmianie w ciągu trzech lat nowego życia. Chociaż świadomość potrzeby tych zmian narasta i staje się coraz wyraźniej powszechnym przekonaniem przodujących badaczy nie tylko młodego, ale często i starego pokolenia.

Rozwój bowiem humanistyki polskiej, nie wiele odbiegał od schematu rozwoju tych dziedzin myśli w całej Europie współczesnej.

Półowa wieku XIX wydała na gruncie humanistyki syntezę pozytywistyczną. Cechował ją zarówno w założeniach metodologicznych, jak i dyrektywach gromadzenia materiału, czy w uogólnieniach teoretycznych wyraźny naturalizm, przeświadczenie, iż ewolucja, jak mówiono wówczas, nadorganiczna jest tylko dalszym ciągiem ewolucji organicznej rządzonej przez całkiem analogiczne prawidłowości. Znalazło to swój pełny wyraz w przyswojonej przez cały mieszczański świat ówczesny syntezie spencerowskiej.

Te koncepcje rozwijały się nie bez sprzeciwów. Wiemy, iż synteza pozytywistyczna kształtowała się w walce z odrębną myślą marksistowską. Ścieranie się tych dwu systemów miało coraz wydatniejszy wpływ na rozwój nauki. Lecz synteza pozytywistyczna została poddana nie tylko pełnej i druzgocącej krytyce marksistowskiej; w epoce imperializmu również wewnątrz obozu mieszczańskiego wysunięto wiele (w szeregu punktów słusznych) zastrzeżeń krytycznych. Niestety ci krytycy, pomimo swych nieraz trafnych tez negatywnych, znajdowali się, jak już zauważył Lenin, poza obozem postępowej i poprawnej myśli naukowej. Ich tezy pozytywne były najeźdźcą nawet krokiem w tył, a nie naprzód w stosunku do osiągnięć mieszczańskich pozytywistów. Usiłowali oni stworzyć nową anty-antypozytywistyczną syntezę opartą na słusznej tezie o autonomii humanistyki. Usiłowania te

w obozie mieszczańskim nie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Wysiłek krytyczny podważył całkowicie podstawy syntezy pozytywistycznej, lecz przyniósł tylko rozproszone, niepełne i niesharmonizowane poszczególne pomysły, fragmenty, jeśli idzie o nową syntezę humanistyczną. Nie mówię już o wartości poznawczej tych koncepcji. Objawiła się w tym niemoc schyłkowej myśli mieszczańskiej. Lecz te usiłowania czy to neoheglistów czy częściście neokantystów — myślicieli typu Dilthey'a, Rickerta, Durkheima, de Saussure'a, a i innych, pozostawiły do dziś ślady na nauce mieszczańskiej, także na humanistyce polskiej ostatnich 50 lat.

Podstawowe pojęcia humanistyki polskiej kształtowane były pod silnym wpływem idealistycznego neokantyzmu, pod silnym wpływem konwencjonalistycznej interpretacji nauki, pod silnym wpływem formalizmu naukowego.

Przeważało przekonanie o prioryecie metody w stosunku do przedmiotu badania. Podstawowe pojęcia humanistyki kształtowane były jako czyste kategorie myślowe, definiowane z punktu widzenia formalnych założeń postępowania naukowego.

Słuszną tezę o odrębności metodologicznej humanistyki interpretowano fałszywie w duchu autonomii epistemologicznej. Przypisywano humanistyce inny typ poznania, nie posługujący się rzekomo wyjaśnianiem przyczynowym, ustalaniem związków koniecznych, ale oparty na swego rodzaju intuicyjnym rozumieniu sensu wartości składających się na świat kultury. W konsekwencji dawało to fantazję ontologiczną na temat rzekomo odrębnej sfery bytu duchowego.

Prowadziło to do przerostu wszelkiego rodzaju opisowości, do przypisywania humanistyce wyłącznej idyograficznej charakteru, do negowania praw społecznych i historycznych. Prowadziło to w konsekwencji do prze-

rostu metod typologicznych, czysto formalnej interpretacji zjawisk kultury przez próbę opisu tylko ich struktury wewnętrznej. Szło to w parze z tendencją do izolowania poszczególnych szeregów kulturowych, do traktowania ich autonomiznego, do prób wyjaśniania dynamiki danego szeregu tylko idyogenetycznie, tylko przez prawidłowości wewnętrzne, tylko przez swą tradycję kulturową. Negowano celowość, naukowość poszukiwań allogenetycznych, negowano fakt wzajemnego powiązania różnych szeregów zjawisk kulturalnych, jak sztuka, nauka, gospodarstwo..., nie doceniano wpływu życia, wpływu czynników społecznych na dynamikę danego szeregu kulturowego.

Wewnętrzne zróżnicowanie metod humanistyki mieszczańskiej epoki imperializmu nie naruszało tych wspólnych formalistycznych i idealistycznych założeń.

Nie sądzę, aby trzeba się tu było szerzej rozwodzić nad dobrze uzasadnionymi prawdami, iż wyżej scharakteryzowane założenia humanistyki współczesnej były zdeterminowane jej funkcją społeczną. Formalistyczna humanistyka gromadziła w taki sposób i takie fakty, że składały się one na taki obraz dynamiki kultury, który nie oddalał realnych sił i prądów przemian społecznych, ale mitologiczne „sły” trwania istniejących porządków.

Humanistyka polska ostatnich 50 lat kształtowała się pod wyraźnymi wpływami nauki, której charakterystykę metodologiczną, funkcję społeczną i społeczne determinanty omówiłem wyżej.

Radykalne przeobrażenie stosunków społecznych w Polsce, nowe zadania społeczne, które przed naszą humanistyką stoją, ułatwiają znacząco krytyczną rewizję podstaw metodologicznych, problematyki i wyników tradycji humanistycznej ostatnich lat. Ta praca krytyczna rozpoczęła się w Polsce nie

*) Nauka Polska. Tom XXV. Wyd. Kasy im. Mianowskiego. Warszawa 1947. Red. Dr S. Michalski str. 590.

dzis. Dla przykładu wspomnę choćby walną rozprawę z przerosłymi metodami komparatywnymi w metodologii badań literackich, która została sformułowana w Polsce w latach międzywojennych.

Dałoby się wymienić wiele podobnych przykładów. Lecz społeczne warunki radykalnej rewizji powstały dopiero po wojnie. Jesteśmy u progu tej pracy, potrzebna nam jest pomoc i liczymy na nią. Nie potrzebujemy dowodzić szerzej, iż najwłaściwszą bronią krytyczną w stosunku do wyżej cytowanych formalistycznych neokantowskich założeń metodologicznych humanistyki antypozytywistycznej jest metodologia marksistowska. Marksizm jest tą nową syntezą humanistyczną, która odpowiada współczesnym rygorom myślenia naukowego, rygorom naukowej poprawności. Przeciwnie stawia się bowiem konsekwentnie bledom naturalistycznej syntezy pozytywizmu — nie wpada w błąd zrywania z rygorami empiryzmu przy tworzeniu podstaw autonomicznej metodologii nauk o kulturze, błąd tak charakterystyczny dla bezwzględnych prób stworzenia nowej syntezy przez antypozytywistów. Przewidywać również idealizm i formalizm tych ostatnich.

To co w ciągu ostatniego trzylecia stworzyła humanistyka polska jest raczej kontynuacją tradycji międzywojennej — dałoby się wymienić tylko nieliczne prace z pedagogiki, nauki o literaturze, historii, czy filozofii, które są pierwszymi próbami marksistowskiej rewizji tych tradycji.

Istnieje jednak w Polsce świadomość potrzeby tej rewizji, świadomość nowych zadań, które stoją przed naszą humanistyką. Wyrazem tej świadomości są przede wszystkim częste dyskusje na tematy filozofii kultury i humanistyki, które czytamy w naszych czasopiśmiech z „Myślą Współczesną” i „Przeglądem Socjologicznym” na czele.

II.

Humanistyka współczesna, humanistyka polska wymaga gruntownych przeobrażeń — chodzi jednak o właściwy kierunek tych przeobrażeń.

Rocznik „Nauki Polskiej” winien z natury rzeczy przynosić wskazania najbardziej dojrzałe i twórcze. Winien być metodologicznym rachunkiem osiągnięć i braków, winien wyliczać wnioski na przyszłość, planować pracę, zdając jednocześnie sprawę ze stanu nauki w kraju.

Jaki jest stosunek pierwszego powojennego XXV tomu „Nauki Polskiej” do aktualnych zagadnień nauki, a zwłaszcza humanistyki polskiej? Aby na to pytanie odpowiedzieć rozpatrzmy bliżej pierwszy artykuł tomu — rozprawę Artura Górskiego „Nauka i człowiek”. Redakcja wysunęła to studium na czoło, na czoło pierwszego powojennego tomu rocznika o wielkiej i cennej tradycji. To obowiązuje. Rozprawę Górskiego musimy traktować jako propozycję programową dla nauki (szczególnie humanistyki) polskiej, przynajmniej ze strony redakcji pisma.

Górski zaczyna od podstawowych tez filozofii kultury.

„W ujęciu najogólniejszym, pisze, kultura jest funkcją promieniowania psychicznego”. (s. 1) „Dusza kultury jest... dążenie do promieniowania psychicznego, do władztwa pierwiastka duchowego, przemagającego opór materii” (s. 2). Na czym, u diabła, polega to tajemnicze promieniowanie? „Na szukaniu wyrazu, odpowiada spokojnie Górski, 1) na swoję zdumienie, 2) na swój lęk wobec mocy przyrody, 3) na swą radość życia, 4) na wzruszenie kosmiczne, 5) na wyczuwanie swego związku z przetrwałym bytciem, 6) na dążenie do wiecznotrwałości, 7) na walkę ze śmiercią i nicością” (s. 2). O takie to podobno sprawy chodzi w twórczości kulturalnej. Mnie najbardziej podoba się to „wzruszenie kosmiczne”!

Człowieka — twórcę kultury Górski rozumie jako istotę duchową. Kierunek twórczości kulturalnej wyznacza jej nie rozum, ale siły „wypełniające ludzką osobowość” — poczucia intuicyjne, „dotyk wewnętrzny” (s. 3). Człowiek — istota duchowa jest niezależny od cywilizacji technicznej, ona go nie urabia, nie bierzemy pod uwagę realnego rozwoju kultury i jej osiągnięć przy konstruowaniu pojęcia człowieka — twórcy kultury, osiągnięta kultura nie determinuje rozwoju przyszłej twórczości kulturalnej. „Wszystkie dzieła techniczne naszych czasów, wszystkie odkrycia i wynalazki wyzwalały nasz czas i nasze siły, ale na co ten czas ma być użyty, co z tymi siłami począć? Nam te zdobyte inteligencji ludzkiej nie powiedzą”. (S. 3).

Kulturę tworzy promieniowanie psychiczne osobowości duchowej twórcy. Należy odkryć sens życia jednostki, założone potrzeby duchowe osobowości. One poprowadzą ku kulturze dobra. To też celem nauki jest samopoznanie wewnętrzne (S. 5). Przytem na wzór średniowiecznej nauki jest służebnicą mistycznej osobowości. Rygorów prawidłowego postępowania naukowego nie stwarza praktyka społeczna i doświadczenie, ale wyznaczają je potrzeby osobowości. Nauka musi podporządkować się tej najwyższej kierunkowości, jaką jest dążenie do uwolnienia jednostki od niewiedzy co do sensu jej bytu (S. 5). I trzeba zerwać z empiryzmem jeśli poszukiwania „sensu bytu” wymagają posłuchu nauki nie dla doświadczenia, ale dla „dotyku wewnętrznego”. Nauka ma ułatwić człowiekowi zdobycie wolności (S. 7). Ale wolność, to znaczy dojrzała pełnia osobowości (S. 8). „A osobowość, jej wielkość, jej wymiar, nie polega na potęgze woli i na sumie wywołanych przez nią zmian w ludz-

kich stosunkach. Miarą wielkości jest ta siła, jaką człowiek dany dźwiga ludzkość (?) do wyższej hierarchii wartości, poszerza wolny oddech pierśmiom, co daje pchnięcie twórczym dyspozycjom, dźwigającym ludzką osobowość” (S. 8). I dodajmy dla jasności: „cała problematyka dziejowa staje się... zagadnieniem jednostki, dusza jej życia, i musi być na nowo przeżyta i rozstrzygnięta w świecie jej wolnych postanowień” (S. 18).

Kultura, dzieje, poznanie, nauka — to sprawa doskonalenia się wewnętrznego pięknej duszy.

Tyle założeń.

Nie mogę tu nie mówić jasno — zreferowane i cytowane poglądy — to myśli nieporządne, nieprecyzyjne, niepodporządkowane żadnym współczesnym rygorom sensowności i poprawności.

Przecież to jest zlekceważenie osiągnięć całej teoretycznej humanistyki ostatnich kilkudziesięciu lat, nawet mieszczańskich.

Nie mówię o krytyce marksistowskiej. Ale redakcja „Nauki Polskiej” drukując Górskiego nie chciała zauważyć sumiennej krytyki ze strony współczesnej logiki formalnej, krytyki właśnie podstaw tej „duchologicznej” humanistyki pierwszej ćwierci dwudziestego wieku.

Górski karmi nas pomysłami z przed pół wieku. Poznaniem intuicyjnym pierwszych prekursorów fenomenologii; próbą budowania humanistyki a priori, wychodząc od bezpośredniej danej struktury ducha ludzkiego, który się tylko obiektywizuje w faktach kulturowych; dynamiką kultury, która jest samopoznawaniem się ducha itp.

Przecież realne, rozwijające się dyscypliny humanistyczne, te, które przynoszą także pozytywne odkrycia, zbudowane są zupełnie inaczej, niż proponuje Górski i mistyczna redakcja „Nauki Polskiej”.

Weźmy założenia metodologiczne choćby współczesnego językoznawstwa i to nie allogenetycznego marksistowskiego, ale formalnego, idio-genetycznego językoznawstwa mieszczańskiego. Mam na myśli i to wyraźnie podkreślam nie ogólne założenia wynikające z prób stworzenia antypozytywistycznej syntezy humanistyki — ale założenia, o których mówi owocna, odkrywcza praktyka badawcza najbardziej poprawnych empirycznych studiów, przynoszących niezaprzeczone rezultaty poznawcze w danej gałęzi nauki.

Rygorów postępowania naukowego nie stanowią tu najwyższe potrzeby osobowości duchowej. Prawdy nie poznajemy, jak chce Górski, po zgodności z „najwyższymi potrzebami ducha twórczego”, po sprzyjaniu stawianiu się pełnej osobowości, po przyczynianiu się do rozwikłania antynomii krepujących wewnętrznie człowieka, wedle kryteriów, jednym słowem, sobkowskiej, tchórzliwej moralności, która dąba do doskonałości wewnętrznej jednostki i zastrzega, że miarą tej doskonałości nie jest bynajmniej wpływ na zmianę stosunków ludzkich.

Problem ten kryterium prawdziwości sądów jest rozstrzygającym dla każdej teoretycznej koncepcji nauki. Jest to dziś problemat bardzo dyskusyjny. Fenomenologom i ich egzystencjalistycznym kontynuatorom nie obce są i dziś pomysły Górskiego. Wiadomo jest istotny spór pod tym względem między stanowiskiem neopoztywistów i ich subiektywną koncepcją doświadczenia, a stanowiskiem marksistów z ich koncepcją kryterium praktyki.

Lecz odłożmy te ogólne sprawy. Zwróćmy się myślą ku konkretnej właśnie jak mówię, praktyce jakiegoś badacza, którego wyniki doceniają wszyscy. (Np. teoretyczne prace lingwistyczne o fonemie Baudouin de Courtenay’a, które cenią zarówno fonologowie mieszczańscy jak i lingwistka marksistowska — por. S. D. Kacnelson. Izvestija A. N. S.S.S.R. T. VI, wypusk 5, 1947, s. 393).

Przy tego typu przykładach konkretnego postępowania naukowego określonego przez rozwój specjalnej dyscypliny jedno jest pewne — kryterium prawdy a zatem i cała koncepcja nauki Górskiego nie ma żadnego zastosowania.

Zabawne jest czytać, jak Górski krytykuje (s. 29) z zapalem podstawowe dla nowoczesnej historii przyrodznawstwa dyrektywy metodologiczne sformułowane jeszcze przez Galileusza (por. Cassirer). A więc przeciwieństwo metody doświadczenia, uogólnianiu wyników doświadczeń w drodze wyjaśniania deterministycznego w postaci tzw. praw natury, dążeniu wreszcie do formułowania tych uogólnień w postaci matematycznej.

Górski chciałaby cofnąć naukę tylko do stanu z przed czasów Galileusza, Kartezjusza i Newtona. Jeszcze raz cytuję rzekomo indeterministyczne podstawy nowej fizyki. Jakby fizyki powielokrotnie nie odcinali się od tych metnych filozoficznych spekulacji, często wybitnych nawet uczonych. Górski popełnia tu, może przez niedokładną znajomość rzeczy, nadużycie intelektualne, twierdząc, że uznanie statystycznego charakteru praw przyczynowych jest równoznaczne z indeterminizmem. Temu przeczy każdy podręcznik teorii nauki. Nawet cytowane przez Górskiego książki. Proszę w tym celu porównać str. 31 rozprawy Górskiego i pracę Metallmana „Determinizm nauk przyrodniczych”. Jak również kolejne interpretacje Franka, Meyersona, Poppera, czy wreszcie nowsze prace Reichenbacha. Nie sądzę przy tym aby ci pisarze neopoztywistycznie trafnie pojmowali problem przyczynowości, przeciwnie nie godzę się z reichenbachowskim dopatrywaniem się w związku przyczynowym raczej relacji składniowej. Ważne jest jednak, że nawet przy skrajnie konwencjonalistycznej inter-

pretacji nauki — nie można wyłączyć związków koniecznych, nie można wyłączyć wyjaśniania przyczynowego, nie można wyłączyć determinizmu).

III.

Górski przyjmuje niesprawdzone założenia konstruując swoją koncepcję wiedzy o kulturze. Przyjmuje, aspołeczne, niemoralne założenia konstruując swoje pojęcie wartościowej kultury. Ale nie poprzestaje na założeniach. W dalszym ciągu mamy równie interesujący wywód merytoryczny. Autor opierając się na swojej fałszywej koncepcji istoty poznania próbuje zinterpretować dziejowy rozwój myśli poznawczej, ocenić jej sytuację obecną i nakreślić program przyszłości.

Autor widzi dwa nurty dziejowej myśli poznawczej „...typ rzeczowy, oparty na zasadzie determinizmu przyrody i wchłaniający w nią człowieka bez reszty” — i „...typ humanistyczny wychodzący z obszaru ludzkiej psychiki jako z końcowego zjawiska ewolucji bytu” (s. 7). Podział ten jest niedołężny. Bo właśnie humanistyka współczesna (w poprawnej praktyce całkiem deterministyczna) widzi wyraźną różnicę między światem społecznym i światem natury, mówi o niesprawdzalności praw historii do praw natury. Marksizm mówi i w dobrze uzasadniony sposób (przeciw neopoztywistom) o nieprzekładalności zdań humanistyki na język fizyki.

Górski wychodząc ze swego prymitywnego i niezgodnego z historią nauki podziału, sądzi, że prometejska myśl grecka szukająca wolności dla człowieka w deterministycznej interpretacji natury, w poznawaniu jej praw była pierwszym bledem. Na tej drodze myśli człowiek nie znajduje wolności, znajduje tylko fałszywe cele, które go niewolą i ograniczają, są to fikcje — dwie z nich są najgroźniejsze: dobrobyt i władza (s. 16). One prowadzą do nicości. Przeczą życiu. Ten kierunek walki o dobrobyt dla ludzi i o wolność, którą daje władza zdobyta przez uciemiężonych kontynuowała, potępiona przez Górskiego równie jak grecki prometeizm, kultura Odrodzenia i kultura Oświecenia. Raz tylko ludzkość weszła wedle Górskiego na dobrą drogę w średniowieczu dzięki chrześcijaństwu. Mamy więc i starą, dobrze znaną, reakcyjną piosenkę o powrocie do średniowiecza. Chrześcijaństwo pokierowało właściwie myślą ludzką. Przestała szukać praw natury, wiązać się rygorami determinizmu. Zaczęła szukać „nowego świata opartego na życiu osobistym i miłości wieczystej” (s. 18). Ile jest moralnej ohydy w tym przeciwstawieniu prometeizmu — trochę rentierskiej o życie osobiste — nie trzeba wyjaśniać. Dnem upadku myśli jest dla Górskiego, oczywiście, materializm historyczny, który wedle niego prymat idei zastąpił prymatem materii. Pięszę dziwne rzeczy o materializmie, by go wreszcie oskarżyć, iż stał się ideową podstawą hitlerizmu (s. 24). Trudno dyskutować nawet z takim poglądem.

Jak należało się spodziewać myślicielem, który rozwiązuje trudności współczesnego życia, jest Hoene-Wroński. On dał bowiem trafną analizę i ocenę „współczesnej struktury życia zbiorowego”. Pewno nie wiecie — znając tylko naocznie stawianie się nowego ludowego społeczeństwa polskiego i znając marksistowską teorię rozwoju społecznego — co, znakomity mesjanista uważa za istotne „rozdarcie współczesnej struktury życia zbiorowego”? No to posłuchajcie. „Wtedy, przekraczając stopniowo tę wyraźną granicę antynomiczną, począwszy od konieczności wsnutej w przyrodę, aż do rozumu wsnutej w treść samowiedzy, pozytywści złączą się z intuicjonistami, kładąc na miejscu przecucia absolutu, które jest obecną zasadą intuicjonistów, wiedzę pozytywną i ściśle dydaktyczną dążność ludzkości ku absolutowi, a w następstwie kładąc postulat rozumowy samego absolutu, — postulat, który będąc utwierdzonym w tożsamości źródłowej dwu zasad różnorodnych świata, ustanowi w człowieku w sposób nie zgłazdony uczucie rzeczywistości niewarunkowej, to jest świadomość immanentną Słowa” (s. 27—28). O ile można pojąć ten język chodzi o to — aby nauka ustanowiła w człowieku religijną wiarę, czy raczej odpowiadającą jej emocje. To rozwiąże dalsze trudności życia zbiorowego. Wystarczy założyć pięta fideistyczne myśli krytycznej! Będzie spokój ze wszystkimi rewolucjami.

IV.

Dalszy ciąg tomu jest wart artykułu wstępnego.

Teoretyk fizyki w drugim studium pisze, że „najbardziej skutecznej pomocy w zdobyciu drogowskazu duchowego stara się dostarczyć religia”. Autor „Syntezy filozoficznej nauk przyrodniczych” troska się najbardziej „o zgodę religii i nauki”. A czy nie możnaby drukować takich rozważań w pismach teologicznych, których kilka ukazuje się regularnie w Polsce?

Autor artykułu o organizacji nauki z wyniosłą obojętnością wyższego ducha nie nawiązuje do tego, co się w Polsce dziś robi w tym zakresie, a snuje sobie swoje utopijne propozycje w czystym powietrzu. Trudno w tygodniku literackim analizować szczegółowo dalsze pozycje. Mamy tu informacje o stanie paru dyscyplin w Polsce. Psują ton tych prac uwagi Konopczyńskiego o historii, który wyśmiewa drażniące go tendencje popularyzatorskie nowej Polski, wyśmiewa opychanie motłochu broszurkami o Kościuszkach i Lelewelach.

Szczegółowo mówi się o pracach w okresie okupacji. I to dobrze. Żle, że się nie ma nic do powiedzenia o twórczej pracy nad nauką dzisiaj, w pierwszych latach Odrodzonej Polski. Natomiast z przerażającą szczegó-

wością mówi się o nauce polskiej na emigracji. Tutaj ze starannością godną lepszej sprawy wylicza się dziesiątki kilkunastostronicowych broszurek teologicznych, przy pomocy których zdobywały magisteria teologiczne różne pocziwe karmelitanki bese na uniwersytetach amerykańskich. To bardzo wzruszające skrupulatnie — tylko nie ma wspólnego z nauką. Tym bardziej razi przykrygodną pobieżnością informacji o tym, co się dzieje w nauce w kraju. A że dzieje się rzeczy ciekawe i inteligentni ludzie umieją to zauważyć dowodzi choćby znakomita Kronika w IX tomie Przeglądu Socjologicznego redagowana przez J. Chłasińskiego.

Kronika zagraniczna w „Nauce Polskiej” jest redagowana po prostu niemądrze. Nie można być stronicznym informatorem w nauce. Bo to jest szkodzić kulturowo. A tom XXV „Nauki Polskiej” przynosi dużo wiadomości o różnych pomysłach w zakresie organizacji nauki na Zachodzie, niestety o pomysłach bliźnich, albo w ogóle nieudanych. Natomiast życie naukowe Związku Radzieckiego zbywa konwencjonalną notą o Akademii Nauk. Tymczasem, jak pisałem na początku, uczciwie myślący humanista właśnie w Związku Radzieckim może i powinien szukać ożywczo nurtu myśli humanistycznej. I zrobiłby dobrze.

Nie rozumiem tego oporu. Istnieje dość wyraźna świadomość upadku popoztywistycznej humanistyki mieszczańskiej. A jednocześnie są tacy, co nawet po informacji nie chcą sięgnąć do jednego kraju, w którym dziś humanistyka istotnie się rozwija. Czy to jest postawa naukowa? Czy tanie politykierstwo?

A wystarczy wziąć pierwsze lepsze naukowe czasopismo radzieckie, żeby mieć materiał na parę kronik i jak pobudzających myślowo. Np. taki 4 zeszyt pisma „Sowietskaja etnografia” (z 1947 r.). Zawiera świetny bilans Tolstova dotyczący rozwoju radzieckiej etnografii i nie mniej doskonałe prace syntetyczne o rozwoju antropologii i folklorystyki w Rosji. Gdyby nawet kogoś nie zajęła doskonała charakterystyka metodologiczna i społeczna etnografii radzieckiej, którą daje Tolstov, musiaby zainteresować się jego gruntowną krytyką metodologiczną najnowszych szkół etnograficznych świata. Krytyka, która imponuje erudycją, znajomością najnowszych prac, świadomością metodologiczną i społeczną. Wiemy, jak bardzo to są dziś rzadkie zalety wśród humanistów. I doprawdy warto wiedzieć, co marksiści sądzą o funkcjonalizmie, metodzie historycznej czy ilościowej w etnografii, co sądzą o problemie kręgów kulturalnych itp. Bo to są sądy naprawdę bardzo naukowo świadomych ludzi, co więcej — badaczy, którzy mogą się pochłubić znakomitymi wynikami konkretnych badań. Gdy czytamy powojenne broszury polskich teoretyków humanistyki (np. Czeżowski) przetrwających ciałem od 50 lat te same papki paru myśli Windelbanda i Rickerta, nie poinformowanych o rozwoju humanistyki od dobrych dwu pokoleń — głęboko wierzę, że proste streszczenia takich artykułów radzieckich jak cytowane datyby humanistom polskim wiele. I to jest elementarny obowiązek kronikarza takiego wydawnictwa jak „Nauka Polska”. A artykułów tych nie trzeba wyszukiwać ze świecą. Po ostatniej wizycie w księgarni leży na moim biurku: Vestnik Leningradzkiego Uniwersytetu. Nr. 11 1947 z artykułem Mieszczańinowa „Nowe ujęcie o języku na sowietniennym etapie razvitiia”. I bardzo ciekawym studium Plotkina o historii stosunku partii bolszewickiej do literatury od 1900 do 1947 r. Leży tom V Nr 2 1948 Izvestij Akad. Nauk SSSR (seria historii) z pracą Utczenki o społecznym sensie teorii upadku obyczajów w starożytnym Rzymie, leży tom VI Nr 5 (seria języka) Izvestij A. N. z pracami metodologicznymi o charakterze syntez: Plotkina o literaturoznawstwie, Kacnelsona o językoznawstwie, Borovkova o wschodoznawstwie. I to jest ponowienie wizyty w księgarni, i to wizyty człowieka o wąskich zainteresowaniach historyka literatury. Ileżby znalazł śladzka wszystkie dziedziny wiedzy!

W ciągu miesiąca zawsze zbierze się tyle — często więcej — godnych zreferowania artykułów. Ale uparci moje słowa potraktują bez czytania poleconych prac jako propagandę polityczną, a wyniosłe milczenie „Nauki Polskiej” jako naukowy obiektywizm. A gdyby tak spróbować i raz przeczytać? Tak, według mojej rady — np. tego Tolstova? Może się okaże, że to ja, uczeń marksistów, mam naukowy stosunek do humanistyki — a nie informatoryzuję z „Nauki Polskiej”. Miejsny nadzieję, że następny tom tego rocznika będzie inny. Bo doprawdy pismo ma wielkie i pilne zadania do spełnienia. I warto je redagować z punktu widzenia istotnych potrzeb i współczesnych tendencji rozwojowych nauki.

Stefan Żółkiewski

TREŚĆ NUMERU 27:

Andrzej Stawar — O „Przedwiośniu”; Aleksander Puszkyn — Wiersze; Mieczysław Jastrun — Trybuna ludów; Paweł Hertz — Veto anielskie; Włodzimierz Sokorski — Teatr i widz; Ryszard Matuszewski — Organizacja wypoczynku; Jerzy Kreczmar — Występy Teatru Louis Jouvet; — Przegląd prasy; Korespondencja; S. C. — Rozrost teatrów świetlicowych; Noty.

ADAM BROMBERG

KSIAŻEK CORAZ WIĘCEJ

Ruch wydawniczy w I kwartale 1948 r.

INFORMACJE statystyczne o ruchu wydawniczym w Polsce, zamieszczane systematycznie w „Kuźnicy” (porównaj „Kuźnicę” nr. 23—1947 i nr. 10—1948 r.), jak już się kilkakrotnie zastrzegaliśmy nie mają charakteru ściśle naukowego. Zestawiane przeze mnie dla zaspokojenia czysto prywatnego zainteresowania, bez żadnego aparatu pomocniczego, mają one tylko tę wyższość nad dokładnymi danymi Urzędu Statystycznego, że sporządzane są na gorąco w niewiele tygodni po zakończeniu kwartału i służyć mogą jako dotychczas jedyna, bieżąca informacja o rynku wydawniczym w Polsce, której zadaniem jest przede wszystkim wskazanie kierunku rozwoju rynku wydawniczego. Tylko z tym zastrzeżeniem należy przyjmować dane liczbowe.

W roku bieżącym ogromnym ułatwieniem w mojej pracy jest systematyczne ukazywanie się „Przewodnika Bibliograficznego”, wydawanego przez Bibliotekę Narodową pod redakcją Wandy Dąbrowskiej. Starannie opracowany i drukowany bez zarzutu „Przewodnik Bibliograficzny” jest wydawnictwem bardzo cennym i pod warunkiem pełnej kompletności druków i dalszego systematycznego ukazywania się pełni swą rolę informatora wydawniczego, niezbędnego dla każdej biblioteki, redakcji, księgarni, dla każdego bibliofila.

Przyjmując za podstawę informacje statystyczne „Przewodnika Bibliograficznego”, nie uwzględniam w zestawieniach czasopism (nawet wydanych po raz pierwszy) oraz druków, które nie mogą być zakwalifikowane jako książki i broszury, a więc: mapy, nuty i drobne druki 2—4 stronicowe bez wartości bibliograficznej. Pomijam również polonika i inne książki zagraniczne, które moim zdaniem niesłusznie włącza redakcja do „Przewodnika”. Jeśli konieczna jest informacja o książkach wydanych zagranicą i nadesłanych do Biblioteki Narodowej, to należy je umieścić w osobnej rubryce bez kolejnego numeru Urzędowego Wykazu Druków, który przecież powinien zawierać tylko druki wydane na terytorium Polski. Obok książek wydanych przez Polaków na emigracji (np. przez Dowództwo Jednostek Wojska — jakiego? — A. B. — na Środkowym Wschodzie), tłumaczeń polskich książek na inne języki, znajdują się tu również książki zupełnie przypadkowe, np. K. Capka — Rozmowy z T. G. Masarykiem (wyd. w Pradze po czesku), poz. 243 Urzędowego Wykazu Druków. Jeśli w ten sposób będziemy włączać do Przewodnika Bibliograficznego wszystkie książki, nadsyłane do Biblioteki Narodowej, to przy ożywieniu naszych stosunków kulturalnych, zwłaszcza z krajami demokracji ludowej, roznamiętnienie Przewodnika mogłoby ulec nazbyt wielkiemu zwiększeniu.

Dla umożliwienia porównania z latami przedwojennymi, i pogłębienia możliwości analizy jakościowej, obok dotychczasowych tabelek przeprowadziłem dodatkowe obliczenia, które dają odpowiedź na pytania w każdym dziale, ile jest wznowień a ile nowych wydań, jaki jest odsetek broszur (poniżej 64 stron), tłumaczeń (z jakiego języka), książek naukowych, popularno-naukowych, podręczników i literatury pięknej. Osobną uwagę poświęciłem tzw. dokumentom życia społecznego (termin dość niefortunny, który pozostawiam dla zachowania ciągłości statystycznej), tzn. wydawnictwom nie przedstawiającym wartości bibliograficznej, przeznaczonym jako „druk użytkowy” dla określonej grupy osób, np. rozkłady jazdy, statuty stowarzyszeń, katalogi przemysłowe, regulaminy i przepisy. Nie chcąc mnożyć zestawień statystycznych obciążenia powyższe wykorzystuję tylko fragmentarycznie, dla analizy niektórych ważniejszych pozycji.

Tych kilka uwag na wstępie — to dla zorientowania czytelnika w metodyce opracowania statystycznego; dokładność jego wydaje się dla celów informacyjnych wystarczająca.

W I kwartale br. wydano w Polsce 1358 książek i broszur o łącznej objętości ponad 168 000 stron. I kwartał przyniósł przytem nie tylko olbrzymi wzrost w porównaniu z I kwartałem 1947 r. (o 70%), ale stanowi w ogóle rekord powojennej kwartalnej produkcji wydawniczej pod względem ilości tytułów, a pod względem objętości utrzymuje się na poziomie IV kwartału 1947 r.

Na 1358 pozycji wydawniczych składa się stosunkowo duża ilość broszur (poniżej 64 stron) — 645 średniej objętości 30 stron i 713 książek o średniej objętości 235 stron każda. Obliczenie to wskazuje jak zwinne jest operowanie w statystyce tylko ilością tytułów — broszury stanowią pod tym względem prawie połowę, a pod względem objętości tylko 1/9 ogólnej produkcji. 8/9 produkcji od strony redakcyjnej, składu drukarskiego i pótek bibliotecznych przypada na książki, których znaczenie dla bibliotek jest oczywiście niewspółmiernie większe.

W I kwartale notujemy dużą ilość pierwszych wydań — 943, przy 354 wznowieniach i 61 odbitkach z czasopism. Przy zastosowaniu przedwojennego schematu GUS uzyskujemy następujący podział rzeczowy książek i broszur w I kwartale br.:

prace naukowe	224
prace popularno-naukowe	298
podręczniki	263
literatura piękna	319
dokumenty życia społecznego	234

Tłumaczeń z języków obcych ukazało się 113, w tej liczbie:

z języka angielskiego	37
„ „ „ rosyjskiego	20
„ „ „ niemieckiego	15
„ „ „ francuskiego	12
„ „ „ włoskiego	5
„ „ „ żydowskiego	2
„ „ „ czeskiego	1
z innych	21

W językach obcych wydano w I kwartale 13 książek (8 w języku francuskim, 3 w angielskim i po jednej w rosyjskim i żydowskim).

Przyjrzyjmy się teraz poszczególnym działom w porównaniu z I kwartałem ub. roku:

KSIAŻKI I BROSZURY WYDANE W I KWARTALE 1947 I 1948 R.

Dział	Ilość tytułów		Objętość		w % ogółu	
	w I kwartale 1948	w I kwartale 1947	1947	1948	1947	1948
I. Dzieła treści ogólnej	22	1,6%	5934	4442	6%	2,6%
II. Nauka. Kultura.	24	1,8%	1365	1647	1,4%	1%
III. Archiwistyka. Bibliologia. Muzealnictwo	27	2%	174	1459	0,2%	0,9%
IV. Religia	117	8,6%	7678	11473	7,8%	6,8%
V. Filozofia. Logika. Psychologia.	20	1,5%	1331	2513	1,4%	1,4%
VI. Historia	81	6%	6742	11331	6,8%	6,7%
VII. Geografia	15	1,1%	1155	1577	1,2%	0,9%
VIII. Antropologia. Ethnologia.	4	0,3%	50	381	0,1%	0,5%
IX. Językoznawstwo	10	0,7%	1271	943	1,3%	0,6%
X. Literatura	170	12,5%	22159	36224	22,5%	21,5%
XI. Nauka o literaturze	29	2,1%	3074	3656	3,1%	2,2%
XII. Muzyka. Teatr. Kino.	4	0,3%	871	495	0,9%	0,3%
XIII. Sztuki plastyczne. Architektura	18	1,3%	294	1443	0,3%	0,9%
XIV. Prawo. Administracja.	44	3,2%	2791	7642	2,8%	4,5%
XV. Polityka. Publicystyka.	28	2,1%	1705	1928	1,7%	1,1%
XVI. Ekonomia.	17	1,2%	2592	1687	2,6%	1%
XVII. Nauki i zagadnienia społeczne.	79	5,8%	3236	5826	3,3%	3,5%
XVIII. Oświata. Wychowanie.	50	3,7%	2853	3143	2,9%	1,9%
XIX. Wychowanie fizyczne. Sport.						
Gry.	16	1,2%	747	1693	0,8%	1%
XX. Matematyka.	13	1%	767	1481	0,8%	0,9%
XXI. Nauki przyrodnicze.	93	6,9%	2424	8228	2,4%	4,9%
XXII. Nauki lekarskie.	68	5%	1358	7327	1,4%	4,3%
XXIII. Technika.	57	4,2%	4997	8687	5,1%	5,2%
XXIV. Wojskowość.	14	1%	140	1992	0,1%	1,2%
XXV. Przemysł. Rzemiosło. Handel. Transport.	82	6%	3002	7692	3%	4,6%
XXVI. Gospodarstwo wiejskie, domowe.	44	3,2%	2025	6548	2,1%	3,9%
XXVII. Podręczniki szkolne.	85	6,3%	3464	13928	8,6%	8,3%
XXVIII. Wydawnictwa dla dzieci i młodzieży.	127	9,4%	9344	12496	9,4%	7,4%
Razem	1358	100%	98545	168332	100%	100%
Mapy	6			44		
Nuty	54			889		

Zestawienie cyfr absolutnych z procentowym ich udziałem w ogólnej produkcji pozwala wydzielić te działy, których wzrost wyraża się nie tylko w zwiększonej ilości tytułów i stron, ale i w procencie produkcji ogólnej. A więc przede wszystkim medycyna, nauki przyrodnicze, przemysł, rzemiosło, handel, gospodarstwo wiejskie i domowe, prawo i administracja. Literatura piękna mimo wzrostu objętości o 50%, w ogólnym kotle wydawniczym zajmuje stosunkowo niewiele

miejsca, z każdym kwartałem mniej. Podobnie książki dla dzieci i młodzieży: ich udział w ogólnej produkcji zmalał o 2% do 7,4%. Produkcja podręczników szkolnych utrzymuje się na najwyższym dotychczasowym poziomie IV kwartału 1947 r.

Pewne uogólnienie umożliwia kolejne zestawienie udziału w ogólnej produkcji większych grup działowych — zestawionych wg ilości wydanych tytułów.

Książki i broszury wydane w I kwartale 1948 r. w zestawieniu z r. 1946 i 1947

Dział	Ilości tytułów danego działu w procentach ilości tytułów całej produkcji wydawniczej w okresie:		
	1946 r.	I kwartał 1947 r.	I kwartał 1948 r.
0. Książki treści ogólnej	5,2%	1,6%	1,6%
1. Filozofia	1,3%	0,8%	1,5%
2. Religia, teologia	7,2%	10,8%	8,6%
3. Nauki społeczne, prawne, publicystyka	21,7%	10,3%	11,1%
4. Językoznawstwo	0,8%	0,5%	0,7%
5. Nauki ścisłe	2,5%	10,3%	6,3%
6. Nauki stosowane	14%	27,2%	32,1%
7. Sztuki piękne. Gry. Sporty	5%	2%	2,8%
8. Literatura piękna	13,3%	12,8%	12,5%
9. Książki dla dzieci i młodzieży	10%	15,1%	9,4%
10. Historia, Geografia	10%	1,8%	7,1%
Podręczniki szkolne	4%	6,3%	6,3%
	100%	100%	100%

Mamy tutaj wyraźny prymat na rynku wydawniczym książek o charakterze praktyczno-naukowym: trzecia część wszystkich wydawnictw to nauki stosowane. Wszystkie inne dziedziny z trudem utrzymują swoje pozycje, lub nawet zmniejszają swój udział procentowy w ogólnej produkcji wydawniczej.

Te przesunięcia łączą się z poważnym nasileniem pracy wydawniczej instytucji państwowych i społecznych, które obrazuje poniższa tabelka.

Dział	I kwartał 1948 r.		Ilość tytułów w procentach ogólnej produkcji		Ilość tytułów w procentach ogólnej produkcji	
	objętość stron	w % ogółu produkcji	1946	1947	1948	1948
I. Spółdzielnie wydawnicze w tej liczbie:	41683	24,3	279	17%	17,4%	20,5%
„Czytelnik”	10217	6,1	79	3,6%	3,9%	5,8%
„Książka”	8812	5,2	45	5,2%	3,6%	3,3%
„Wiedza”	6911	4,1	38	2%	2%	2,8%
II. Instytucje wyd. państwowe	42643	25,3	425	21,9%	24,6%	31,3%
III. Organizacje społeczne, związki i stowarzyszenia (prócz religijnych)	21672	12,9	227	11,2%	13,9%	16,7%
IIIa. Stowarzyszenia i organizacje religijne	10463	6,2	94	6,4%	9,2%	7%
IV. Firmy prywatne i anonimowe	51871	30,8	333	43,5%	34,9%	24,5%
Razem	166332	100	1358	100%	100%	100%

Wydawnictwa prywatne utrzymują na ogół swój poziom produkcji, ale nie nadążają za ogólnym wzrostem. Stąd ilość wydawanych przez nie pozycji stanowi w ciągu trzechlecia stale zmniejszający się odsetek ogólnej

produkcji (z 43,5% do 24,5%). Sytuację ratuje stosunkowo duża średnia objętość książek wydawanych przez firmy prywatne: broszura to „artykuł”, który może liczyć tylko na zbyt zorganizowany, nie jest nabywana w

księgarniach, ani dla bibliotek. Stąd wydawcy prywatni utrzymują prymat swojego sektora pod względem objętości wydanych książek.

Największy jest jednak wzrost znaczenia na rynku wydawniczym instytucji państwowych, które w I kwartale 1948 r. wydały prawie 1/3 części wszystkich książek i broszur. Również udział wydawnictw społecznych i spółdzielczych, szczególnie „Czytelnika”, który wydaje około 6% książek i broszur w Polsce.

Zwiększający się udział sektora państwowego i społecznego widoczny jest również w szczególnie nas interesującym dziale literatury pięknej. Na 170 wydanych książek „Książka” wydała 23, „Czytelnik” 19, „Wiedza” 18, wyd. państwowe — 11, społeczne — 10, a prywatne 73, tzn. 43%.

Ciekawe, że na 31 tomików poezji — 6 ukazało się w I kwartale nakładem „Książki”, 6 nakładem wyd. społecznych, a 14 — nakładem wydawców prywatnych. Z 40 pozycji przekładów literatury pięknej, 15 dokonano z języka angielskiego, z czego 11 ukazało się nakładem wydawców prywatnych.

W wydawnictwach dla dzieci i młodzieży firmy prywatne produkują w I kwartale br. większość książek, zwłaszcza obrazkowych: 71 tytułów, tzn. 60% książek tego działu, w tej liczbie 18 tłumaczeń, przeważnie z angielskiego, na ogólną ilość 24 tłumaczeń w tym dziale. Jednak dawny niemal całkowity monopol firm prywatnych na książki dla dzieci i młodzieży uległ ograniczeniu na skutek wzmocnionej akcji wydawniczej „Czytelnika” (10 pozycji w I kwartale) i innych spółdzielni (Nasza Księgarnia). Akcje wydawnicze rozwinięły w tym dziale wydawnictwa katolickie, nakładem których ukazało się w I kwartale 8 książek dla młodzieży.

Z innych działów firmy prywatne wydają w większych ilościach jedynie książki i broszury religijne — 47 tytułów, tzn. 40% produkcji w tej dziedzinie. W 4 działach udział wydawców prywatnych dochodzi do 30% (kalendarze, „bryki” szkolne, katalogi księgarskie i historia), w pozostałych waha się od 10—15%.

Warto tutaj jeszcze zaznaczyć, że te przesunięcia na korzyść wydawnictw społecznych odbywają się jedynie dzięki wzmocnieniu ich działalności. Wydawcy prywatni utrzymują dotychczasowe tempo produkcji, zachowując całkowitą swobodę w doborze tytułów, chociaż właśnie w tym kierunku, w kierunku selekcji najbardziej wartościowych książek, miały iść instancje ogólnopństwowe w dalszym ciągu instancje ogólnopństwowe planu wydawniczego. Na walnym zebraniu wydawców 28 kwietnia 1948 r. wice-minister Sokorski zapowiedział pełne poparcie rządu dla wszystkich sektorów wydawniczych i włączenie wszystkich wydawców do planu wydawniczego, realizującego postulaty kulturalne Polski Ludowej. Nie ulega żadnej wątpliwości, że sprawa ta dojrzała do ostatecznego rozstrzygnięcia. W produkcji wydawniczej I kwartału widzimy raz jeszcze wszystkie elementy potrzebne do decyzji: z jednej strony rosnące możliwości organizacyjne i produkcyjne wydawnictw, a z drugiej strony trwająca nadal bezplanowość, marnotrawstwo środków i dowolność w kalkulacji cen.

A przecież ta ostatnia, niezmiernie ważna sprawa: ceny książki, daje się naprawdę prościej załatwić, aniżeli plan ogólnopństwowy. Czy nie należałoby w tym wypadku przejąć doświadczenia Czechosłowacji, która już w 1946 r. wprowadziła obowiązującą wydawców kalkulację ceny książki. Zasadę przyjęto prostą: najwyższy dopuszczalny mnożnik w Czechosłowacji — to 2,7. Ceny uzyskuje się przez pomnożenie efektywnych kosztów druku, papieru, klisz i honorarium autor-skiego. Zezwolenie na sprzedaż książki uzależnione jest od przedstawienia takiej kalkulacji, sprawdzonej wg. norm ogólnopństwowych. W rezultacie książki w Czechosłowacji są znacznie tańsze aniżeli u nas, a przede wszystkim nie ma tych rażących dysproporcji między cenami poszczególnych wydawców, które hamują przeprowadzanie książek i uszczuplają biblioteki.

Adam Bromberg

WANDA ŻÓŁKIEWSKA

K A P E L

OPOWIADANIA

Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”
Warszawa 1948

str. 162

Cena: zł. 180 — broszur.
zł. 350 — w oprawie

"WOJNAROWSKI"

(dokończenie ze str. 3)

mu, szlachetny czyn i śmierć Byrona były czymś więcej niż epizodem tej walki, były jej symbolem i programem politycznym. Na śmierć Byrona zareagowali w swojej twórczości Puszkina i Rylejew, który napisał wzniosłą odę, utrzymaną w tradycjach patosu politycznego.

Był to pełen pasji monolog agitujący za sprawą wolności. O katalafku w Missolonghi pisał: „Szlochając roi się dokoła niego gwaru tłumu, tak jakby w tej trumnie leżała wolność wskrzeszonej Grecji; jakby kajdany odwieczne znów były gotowe ujarzmić ją; jakby nacierali na nią sultan i groźna Rosja...”. Istotnie Rosja świętego przymierza prowadziła wówczas jeszcze politykę Metternicha, występując przeciwko obrońcom Grecji w obozie światowego wstępnictwa. Dalej Rylejew zwraca się do Grecji, aby była dumna nie ze swojej „sily olbrzymiej”, tj. zespolonego rewolucyjnego porwywu narodu, lecz z trwałej sławy obywatelskiej i dzielności swoich synów. Wyolbrzymiana rola jednostki miała tu tym większe usprawiedliwienie, że dana jednostka — Byron — była jednostką niezwykłą, wzniosłym poetą, który żył dla swojej ojczyzny i świata, „z umysłem Sokratesa, z duszą Katona”, przewyższywszy Szekspira. „On słuchał tylko swego geniuszu, nie uznając innej władzy nad sobą” itd. Widzimy tu wszystko: ideały Oświecenia pomieszczone z estetyką idealistyczną, a nad nimi postawiono kult jednostki, zwalczającej potęgę ziemskie nie tyle realną bronią, ile swoją misją obrońcy wolności. Wiersz ten, zresztą wspaniały, może najlepszy wzór rosyjskiej liryki rewolucyjnej okresu romantycznego, rzuca ciekawe światło na los pokolenia Rylejewa, które Mikołaj z zimną krwią kaprała rozstrzeliwał w grudniu 1825 roku na placu Senatu.

3.

Poemat Rylejewa konstrukcyjnie posiada dwa wątki tematyczne. Pierwszy z nich zawiera opis spotkania się rosyjskiego etnografa Millera, podróżującego w celach naukowych po Jakucji, z przebywającym tam na zesłaniu Wojnarowskim. Drugi rozwija się w dialogu Wojnarowskiego, który opowiada swoje życie Millerowi. W usta zesłańca włożył poeta swoje credo polityczne, jest to zasadniczy trzon poematu.

Niestety — jedyny anonimowo wydany w 1861 roku polski przekład „Wojnarowskiego” (podobno pióra Syrokomli — tak należałoby wnioskować, opierając się na wzmiance u Estreichera, podającego nazwisko tłumacza: „Kondratowicz” oraz na stylometrycznych badaniach przeprowadzonych przez Seweryna Pollaka) nie oddaje całkowicie ideologicznej strony poematu. Wierzę streszczając niżej poemat korzystałem z tego tłumaczenia tylko w niektórych ustępach uzupełniając resztę przekładem prozaicznym, nie dającym pojęcia o zwieźm i energicznym wierszu Rylejewa.

— Chcesz, dobry podróżniku, wiedzieć, kim jestem i w jaki sposób tu się dostałem — zaczyna swoje opowiadanie Wojnarowski, poznawszy w Millerze po długich latach pierwszego „oświeconego” rozmówcę, który zrozumie istotny sens jego życiorysu. — Wiem dziś się, młody pielgrzymie, temu jak srogi los przesładuje śmiertelników: wiedz, że przed tobą siedzi przyjaciel i krewny Mazepy.

Tu następuje opis przeżyć zesłańca zabarwiony posępnymi kolorami bajronizmu:

Wśród groźnych opok, wśród puszczy sosnowej,
Patrzac na dzikie odmiany klimatu,
Sam postarzałem, zostałem surowy,
Całkiem podobny tutejszemu światu...
Unikam ludzi — przykre mi ich twarze,
Straszy mnie litość co okazać mogą...

Ale jako pinta zwrotki następuje tu pierwsza zapowiedź tematu wolnościowego, nie oddana w przekładzie: „Ten, kto jest rzucony na obce śniegi za sprawę honoru i ojczyzny, prędzej znieśnie zarzuty, niż współczucie wroga”.

Po tym wstępie Wojnarowski opowiada o latach szczęścia, kiedy wychylał przepelniony puchar słodczy miłości i cichej przyjaźni. W czasie potyczki w odwrocie ranny Wojnarowski stracił konia, leży na stepie opływając krwią. Znajduje go młoda kozacka. Cała ta scena: potyczki, pościgu, nocy stepowej, beznadziejności umierającego i spotkania z dziewczyną kozacką, która ratuje bohaterowi życie, należy do najlepszych wzorów rosyjskiej poezji bajronicznej. Następują sceny miłości, uwiecznionej małżeństwem. Ale niedługo pieści w swoich objęciach bohater Rylejewa swoją kozacką Aldonę. Najazd Szwedów przerywa stan pokoju i szcze-

ścia rodzinnego. W poemacie dochodzi do głosu historia.

Karol dwunasty wszedł na Ruś z orężem,
Na Ukrainie drży bojowe hasło,
Wesoł szedł bić się każdy kto był mężem.

A tylko jakaś niezbadana chmura
Twarz się Mazepy od razu powlekła,
Z pod brwi szerokich co zwisły ponuro,
Zarzył się ogień jakby iskry z piekła.
Milczał — oziębły na wezwanie chwały,
Wesołe pułki gdy wykrzykiwały.

Napróżno Wojnarowski usiłował zgadnąć przyczynę tajemniczej tęsknoty hetmana. Pewnego dnia o późnej porze przywołał go Mazepa do swego pałacu.

— „Już dawno chciałem porozumieć się z tobą; — rzekł Mazepa — dawno zamierałem odkryć ci tajemnicę, ale naprzód zapewnił mnie, że nie pożałujesz niczego dla Ukrainy, jeśli będzie potrzeba”.

Wojnarowski przysięgał. Chmura smutku zbiega z czoła Mazepy, ścisła on rękę Wojnarowskiego, mówiąc:

Zasiedłem, żeś syn Ukrainy
Żeś obywatel — i w czym twe rozkosze,
Przezywam twoje, Wojnarowski, czyny
Bo ty masz serce — zimnych serc nie znoszę...

Tobie jak bóstwo nasza ziemia świeci,
Dla Ukrainy wszystko oddasz w dani,
I twoją żonę i kochane dzieci
Lecz byś honoru nie poświęcił dla niej!
Ja! och ja, bracie, gorętsza mam duszę:
Zemsta mi pali — o honor nie stoję,
Zdejście kajdany, chociaż cześć naruszę —
Czas ci powierzyć tajemnicę moję.

Tłumacząc tę zagadkową zapowiedź Mazepa zwierza się Wojnarowskiemu ze swego wrogiego stosunku do Piotra I, którego wielkość szanuje, ale którego nie może nie uznawać za wroga Ukrainy. Porwanie się na potęgę wielkiego władcy jest niebezpieczne, Mazepa widzi to i rozumie zuchwałość swego kroku; pokłada nadzieję jedynie w szczęśliwym przypadku, który może przynieść pomyślne rozwiązanie walki.

— Powodzenie wątpliwe, mnie czeka sława lub hańba! Ale zdecydowałem się: niechże los grozi ojczyźnie nieszczęściem; zbliża się godzina, zbliża się walka — walka wolności z samowładztwem.

Ostatni wiersz był wykreślony przez cenzurę, ale powszechnie znany, podobnie jak inne zabronione ustępy poematu, z rękopiśmiennych odpisów „Wojnarowskiego”.

Tę rozmowę z Mazepą bohater poematu nazywa fatalną, decydującą o jego losach. „Od tej chwili — mówi — skończył się czas radości, od tej pory, święta ojczyzno, wypełniałaś całkowicie sobą duszę! Ślepo powierzyłem swoje życie Mazepie; przyjaciel ojczyzny i dobra sprzyjałem się przeciwko Piotrowi. Może byłem w błędzie, ale w ślepej zaciętości uważałem cara za tyrana... Oddany wrogim losom znoszę swoje przeznaczenie, ale z daleka od kraju rodzinnego czyż mogę zawsze być na wszystko obojętnym? Urodzony z płomienną duszą na pożytek ojczyźnie, dla nadziei zwycięstw wojennych, beczynnim umieram z tęsknoty w kraju obcym i pustym...”

Czynu mi trzeba, a ja ginę gnuśnie!

Jakże straszne jest znać z góry swój los okropny! Los — całe życie wlec w tęsknocie, ukrywać smutek w duszy, widzieć grób w tym bezkresnym pustkowiu z daleka od stepów rodzinnych... Niestety! umrę w tym królestwie nocy! Tak przeznaczył mi okrutny los; umrę i cudzy piasek zaproszy oczy wygnać!

Na tych słowach, które nie mogły nie znaleźć oddźwięku u Mickiewicza, kończy Rylejew pierwszą część poematu. W drugiej Wojnarowski kontynuuje swoje opowiadanie. Mazepa zdradza zaufanie Piotra, wykorzystując chwilę dołączenia się do wojsk Karola, obraca piki kozackie przeciwko Piotrowi. „Krusząc swoje kajdany synowie swobody posłuszni wezwaniu ojczyzny i wódzów pomknęli do walki w obronę prawa”. Na próżno! Piotr wyszedł zwycięsko z walki ze Szwedami. Rylejew opisuje odwrot i ucieczkę Karola i Mazepy, przemawiającego do Wojnarowskiego słowami, które po upadku powstania dekabrystów, przyjaciele Rylejewa czytali jako wstrząsające słowa prorocztwa:

Zmienne są losy i zwodnicza chwała!
Próżno się trudnim nadaremna pracą,
Napóżno męstwo w naszych duszach
pala,

Walka skończona, liczyć nie ma na co,
Jedna godzina o wszystkim stanowi,
Jedna godzina niszczy całe lata,
Odjęto spokój memu krajowi,
Nadzieje, chwałę, przed obliczem świata,

Tu Rylejew daje apologię czynu Mazepy, który przyrzeka wypróbowania „wszelkich środków” w walce z wrogami ojczyzny, nie cofając się przed hańbą, przed mianem zdrajcy. Mówi: „Jestem spokojny w duszy swojej; i Piotr i ja mamy jednakową słusność; również jak on żyje dla chwały, dla dobra mojej ojczyzny”. Kiedy jeńcy opowiadają mu o triumfie cara, znieślawieniu imienia Mazepy i rozgrabieniu jego majątku, stary hetman odpowiada gorzkim uśmiechem. „Położył się milczący na trawie i owinął się w płaszcz szeroki”. Był to wiersz, na który zwrócił uwagę Puszkina. Po tym następuje jeszcze miejsce, gdzie Wojnarowski przysięga, że gdyby Mazepa sprzeniewierzył się sprawie wolności, pierwszy zabiłby go cios śmiertelny. Wierzę, że przekłada wolność i jej obronę ponad środki walki, jeszcze raz usprawiedliwiając „świętą zradę”.

Grupa uciekających przed pościgiem wojsk carskich zbliża się do granicy i przekracza ją. „Jak ciężko wzburzyła się pierś, jak teskliwie ochłoniło młode serce, gdy rubieże rodzinnego kraju ujrzelimy przed sobą”. Wiersze te czytał Mickiewicz wspominając swoją niedawną podróż z Wilna.

„Trapiiony tęsknotą wybuchnąłem łkaniem jak dziecko, wziętem garść ziemi ojczystej i przywiałem z modlitwą do krzyżyka, co na piersiach noszę. Możliwe, myślałem, że już wigdy nie zobaczę Ukrainy! Obyś chociaż ty, ziemio ojczysta, pocieszała, była lekarstwem na tęsknotę, przypominając mi kraj rodzinny... Niestety!”

Stało się. Boże! com czuł najgoręcej,
Ziemie rodzinnej nie widziałem więcej...”

Mazepa umiera z krzykiem: „O Piotrze! O ojczyzno!” Kozacy pochowali go jako bohatera razem z nadzieją wolności. Wojnarowski opowiada następnie, jak jego żona przedsięwzięła podróż do Syberii, aby odszukać zesłańca. Przypadkowo znalazła i oddała mu resztę złamanego tęsknotą i przeżyciami życia. Wojnarowski pochował ją na wzgórzu, często odwiedzał samotny grób i umarł na nim zasypany do połowy śniegiem. Kończy się poemat na tej posępnej nucie bajronicznej, usprawiedliwionej przez swoją tematykę.

4.

Przy końcu opowiadania Wojnarowski mówi o „obywatelskiej” dzielności swojej żony. „I nigdy, patrząc jej w oczy, nie zachwiałem się w duchu; nie zapominałem dając do walki, że Mazepa był mi przyjacielem i wujem. Od dzieciństwa byłem przyzwyczajony do szacunku dla Brutusa; szlachetny obrońca Rzymu, prawdziwie wolny duchem, prawdziwie wielki czynami, zasłużył na zarzuty, ponieważ sam przyczynił się do zagłady swoich współobywateli, popełniwszy samobójstwo i tym umocnił triumf wrogów ojczyzny. Widzisz, jak ja cierpię, jak ciężkie jest życie na wygnaniu; śmierć byłaby dla mnie ulgą; ale pogardzam życiem zarówno jak śmiercią... Powinienem żyć; jeszcze płonie we mnie ogień miłości do ojczystego kraju, — jeszcze być może, przyjaciel narodu uratuje nieszczęśliwych rodaków i zostanie wskrzeszone mienie ojców — dawna wolność...”

„Przyjaciel narodu”, naprawiając krzywdę despotyzmu przygotowywał wówczas konstytucję demokratyczną w ciastnym gronie „stu podchorążych”, jak przesadnie określał szczupłość ruchu dekabrystów Herzen. Świadomość słabości nasywała im różne sposoby walki, aż do wykorzystania zaufania sztabu generalnego, wzniesienia buntu w krytycznej chwili wojennej. W Tulczynie, gdzie niedawno Trembecki opiewał ogrody pięknej Fani Potockiej, kwatrował sztab armii południowej, którą trzymano tu w związku z wydarzeniami w Grecji. Sztab ten był drugim ogniskiem spisku, na czele którego stał Pestel. Rylejew w 1824 roku przyjeżdżał tu, aby uzgodnić program działań tajnych związków: północnego i południowego. Mówiło się, że w wypadku wojny spiskowcy obrócą armię przeciwko Aleksandrowi, aby przedłużyć walkę o sprawę, za którą zmarł w Grecji Byron. Agenci dekabrystów, którzy krążyli po Ukrainie i Noworosji, przyjeżdżając do Odessy, nie mogli nie komunikować się z Tumanikim, który zresztą do spisku nie należał, aczkolwiek utrzymywał kontakt z czołowymi spiskowcami. Mieszkanie tego urzędnika kancelarii wszechwładnego na południu Rosji hrabiego Woroncowa, było poniekąd zatrute ideami czynu „obywatelskiego” frondy rosyjskiej. Stamtąd, z atmosfery uwielbienia Byrona jako bohatera wolności, gdzie z zapalem deklamowano nowy poemat Ry-

lejewa, tak odpowiadający uczuciowo i ideowo Mickiewiczowi, poeta przerzucał się do salonów odesskich, aby udawać w nich światowca, maskując w ten sposób nadzieje na bliższe wyzwolenie.

W domu Sobanich mówiono po polsku. Ich domownik uprzejmy generał Witt przedstawiał się jako wychowanek Zofiówki, sławionej przez Trembeckiego w poemacie, opatrzonym przez Mickiewicza w Wilnie pełną uznania przedmową. Generał Witt był synem hrabiny Potockiej z pierwszego małżeństwa. Towarzyski i dowcipny, otoczył młodego poetę troskliwą uwagą. Ścisłał mu rękę ze szczególną serdecznością, zaglądał w oczy i obejmując opowiadał drażliwe kawały. Pewnego razu kiedy nieobity poeta omylił się i zamiast lokajowi oddał pustą filiżankę w ręce generała, hrabia Witt odstawił ją na serwantkę, udając że nie zauważył nietaktownej pomyłki. Na posadzkach salonu w niewinnej formie wzajemnych grzeczności rozpoczynały się pierwsze sceny krotkowi „Ludzenia despoty”, od których zależała bliższa przyszłość Mickiewicza. Jednocześnie wśród zabaw i przyjemności dojrzewał w nim pod wpływem wrażeń petersburskich i lektury poezji dekabrystów plan nowego utworu. Podobnie do Mazepy „Wojnarowskiego” miał bohater projektowanej powieści historycznej użyć podstępny waleczny o wyzwolenie ojczyzny. Imię jego kojarzyło się z imieniem autora „Wojnarowskiego”, Konrada Rylejewa, jak również z imieniem bohatera „Korsarza”. Wielki cień Byrona nasuwał trudności. „W Krymie, — wspominał Malewsky, — zamierzane poemat, do którego miały wejść obrazy miejscowe. Nieuchronnie podobieństwo z Child-Haroldem odradzało; jak wpróż idea litewskiego poematu rzucone dla podobieństwa z Larą. Najpierwszy sonet na Czajrdału. Sonety trudne w porównaniu z ciętym poematem. Wallenrod kawałek opowiadania bardzo trudny, przyk: Obrazy tworzą się przy widoku, potem przypominają. Ostatecznie plan jest niejasny chorobą” (Wyd. Sejmowe, t. XVI, str. 47—48).

Zwracając się ku ojczystej historii Mickiewicz wciąż powracał do tematu młodzieńczego opowiadania stylizującego kroniki starożytne — „Żywili” i późniejszej „Grażyny”. Poeta bohatera przysłał w tej formie. O okolicznościach, w których została rozpoczęta „powieść litewska” opowiada A. Dubicki, którego wersję aprobował syn poety.

Młode miasto Odessa wówczas jeszcze nie posiadało jezdni i słynęło ze swego błota, które w okresach upalnych przemieniało się w obłoki kurzu. Błoto i kurz odesski wysławiał Puszkina w swojej „Podróży Oniegina”. „Skoro nadszedł maj, a gorąco i był wcześniej dokuczać zaczęły, — pisał Dubicki, — zaczął Karol Marchocki postanowił chociaż na dni parę wywieźć Mickiewicza w step do siebie, na dziką stepową wille, czyli futer, Lubomla zwany... Poeta wrócił z Marchockim do Odessy, ale wrócił z umysłem pogodnym: czuł się swobodnym dwie doby; to krótkie złudzenie wywołało pomysł nowego poematu, wywołało dni natchnienia — poeta po powrocie rzucił wówczas na papier pierwsze ustępy Konrada Wallenroda...”

„Ułamki Konrada. — czytamy dalej u Dubickiego („Kur. Polsk.” z 4 lipca 1890, art. „Pierwszy rok wygnania Adama Mickiewicza”) w miarę jak wychodziły spod pióra poety, czytywał on bądź na płasko, w zebrańiach u Zaleskich, bądź u Pani Szemiotowej. Te ostatnie posiedzenia były bardzo poufne, w gronie szczupłym najbliższych i najczulszych. Wśród słuchaczy, zbierających się w domku Szemiotów, małym, niskim, ukrytym w glebi dziedzińca, wśród zieloności bżów i akacji, w domku, który przypominał typ, wyborne znany, naszych dworów szlacheckich, widziało przeważnie dwie tylko rodziny: gospodarzy domu i Zaleskich”.

Byli to pierwsi słuchacze „Wallenroda”. Tumaniki wówczas przeniósł się do Mol-dawii. A nawet najbliższych przyjaciół swoich poeta nie wtajał w pracę nad poematem, aby „zawczasem udzieleniem im Konrada Wallenroda nie zwrócił ich baczniejszej uwagi zawiązków wrogów i cenzury” (Wład. Mickiewicz „Żywot” t. I str. 220—21). Przebywał w atmosferze przedgrudniowych nastrojów, w których poemat Rylejewa odgrywał rolę manifestu politycznego. O takim samym manifestie ułożonym w obrazach poetyckich, wznicięciem burze nowostawia we własnej ojczyźnie marzył Mickiewicz. A więc miał nie tylko wspólny temat i wspólnego bohatera z autorem „Wojnarowskiego”, lecz również i wspólną wiarę w siłę słowa poetyckiego.

Leon Gomoliński

JÓZEF SIERADZKI

SPRZYMIERZENCY

STOSUNEK Karola Marksa i Fryderyka Engelsa do sprawy polskiej występuje jasno na tle ich stanowiska wobec wydarzeń 1848 roku oraz wobec powstania styczniowego. Przejawił się on jednak już przed rokiem Wiosny Ludów, w związku z jej polskim przedwiośnią, t. j. rewolucją krakowską 1846 roku. Obszerne i kilkakrotne wypowiedzi Marksa i Engelsa, poświęcone tej rewolucji, nie tylko rzucają snop światła na ich stosunek do Polski, lecz zawierają zasadnicze stwierdzenia. Powiedzmy to od razu — w ocenie twórców „Manifestu Komunistycznego” powstanie lutowe 1846 roku w Krakowie, a wraz z nim sprawa polska, wysunięte zostały na czoło postępów ruchów w Europie owego czasu.

Pod koniec 1847 roku Marks i Engels w programie awangardy międzynarodowego proletariatu, tj. komunistycznej partii, napisali o 22 lutego 1846 roku w Krakowie: „Wśród Polaków komuniści popierają partię, która rewolucję agrarną uważa za warunek wyzwolenia narodowego, tę samą partię, która wywołała powstanie krakowskie 1846 roku”.

W dniu 29. 11. 1847 roku, na obchodzie rocznicy powstania listopadowego, urządzonym w Londynie przez „Fraternal Democrats”, mówił Marks: „Dawna Polska zginęła i byłibyśmy ostatnimi, którzy wzywają do jej odbudowania. Ale nie tylko dawna Polska zginęła. Zginęły również dawne Niemcy, dawna Francja, dawna Anglia, całe dawne społeczeństwo. Jednak zgruba dawne społeczeństwo nie jest wcale zgubą dla tych, którzy w dawnym społeczeństwie nie mają nic do stracenia, a we wszystkich krajach jest takich znaczna większość”.

Wypowiedź ta pochodzi ściśle z tego samego czasu, co „Manifest Komunistyczny”, ma zatem wagę dokumentu uzupełniającego do ustępu o rewolucji krakowskiej. Obszerne wykład na temat tej rewolucji znalazł się w przemówieniu Marksa w drugą rocznicę wydarzeń krakowskich, na obchodzie w Brukseli, urządzonym przez Towarzystwo Demokratyczne, przy udziale około tysiąca uczestników manifestacji.

Dlaczego rewolucja ta była komunistyczna? — rozważał Karol Marks. „Czy była ona komunistyczna dlatego, że chciała odrodzić byt narodu polskiego? A może komunistyczna była rewolucja krakowska dlatego, że chciała ustanowić rząd demokratyczny?”

— Pod jakimże względem ta rewolucja była komunistyczna?

„Czy przypadkiem nie dlatego, że starała się zerwać łańcuchy feudalizmu, wyzwolić własność pańszczyźnianą i zmienić ją we własność wolną, własność nowożytną?”

— Nikt nie zaprzeczy — dodawał do tego retorycznego pytania Marks — że w Polsce kwestia polityczna wiązała się z kwestią społeczną. Kwestie te są zawsze nierozdzielne.

Ludzie, którzy stali na czele krakowskiego ruchu rewolucyjnego — mówili — byli głęboko przeświadczeni, że tylko demokratyczna Polska może być niepodległa, a demokracja polska nie była możliwa bez zniesienia praw feudalnych, bez ruchu agrarnego, który przeistoczyłby chłopów pańszczyźnianych w wolnych posiadaczy, w posiadaczy nowożytnych.

Na agrarny charakter tej rewolucji wskazywał też Engels w 1874 roku, upatrując postępowe znaczenie manifestu powstańczego z 1846 roku w zasadzie, iż „chłopi powinni być właścicielami gruntu, który od wieków uprawiają”. Tak samo Marks w 1848 roku stwierdzał doniosłość rewolucji agrarnych w krajach między Bałtykiem a Morzem Czarnym, które muszą „wyzwolić się z barbarzyństwa patriarchalno-feudalnego” i przeistoczyć chłopów w wolnych posiadaczy ziemskich.

„Polski naród — uważał Marks — ma tę zasługę, że pierwszy między swymi rolniczymi sąsiadami ogłosił tę zasadę”. Miał w tym na myśli i skromne zawiązki reform w 1791 roku i plany Lelewela z czasów powstania listopadowego i dojrzały program reformatorów z lat 1846 i 1848.

Rewolucja krakowska — kończył Karol Marks swe brukselskie przemówienie — acz-

kolwiek chwilowo zgnieciona krwawymi rękami najemnych morderców, dźwiga się teraz, pełna chwały i triumfu w Szwajcarii i we Włoszech. Znajduje ona potwierdzenie swych zasad w Irlandii...

Był to luty 1848 roku, sam początek ożywczej burzy, która zaczynała się w Paryżu i miała przetoczyć się przez Europę.

Świadectwo historycznej roli, jaką odegrali Polacy w 1846 r., dawał sam Marks:

„Znowu więc inicjatywę podjęła Polska, już nie Polska feudalna, ale Polska demokratyczna i od tej chwili wyzwolenie jej stało się punktem honoru wszystkich demokratów Europy”.

Na tym samym zgromadzeniu w Brukseli przemawiał również Fryderyk Engels, wysuwając bardzo interesujące i wnikliwe porównanie roku 1830 i 1846. Powstaniu listopadowemu nie przyznawał Engels charakteru rewolucji narodowej, gdyż wyłączało ono 3/4 ludności Polski. Nie było też ono rewolucją społeczną, nie zmieniało bowiem w niczym wewnętrznej sytuacji ludu. Warszawski listopad był rewolucją konserwatywną, w której przodowała klasa panująca w Polsce, „w równym stopniu egoistyczna, ograniczona i licha na terenie ciała ustawodawczego, jak była ofiarna, entuzjastyczna i mężna na polu walki”.

Zgola inaczej działało się w Krakowie. Rewolucja krakowska nie była ani reakcyjna ani konserwatywna.

— Nie, była ona jeszcze bardziej wrogo usposobiona wobec samej Polski, aniżeli wobec jej cudzoziemskich ciemności, wobec Polski dawnej, barbarzyńskiej, feudalnej, arystokratycznej, opartej na niewoli większości narodu. Daleka od przywracania tej dawnej Polski, chciała ją zburzyć do gruntu i na jej gruzach z pomocą klasy zupełnie nowej, z pomocą większości narodu,

wzniesie Polskę nową, nowoczesną, godną wieku XIX, Polskę, która naprawdę stanowiącą przednią straż cywilizacji.

Zdaniem Engelsa każdy krok podjęty w Krakowie „nosił znamię tej demokratycznej, powiedziałbym — niemal proletariackiej śmiałości, która nie ma nic do stracenia prócz własnej nędzy, a całą ojczyznę, świat cały ma do zdobycia”.

Różnica między rokiem 1830 a 1846 polegała na olbrzymim postępie, który dokonał się wewnątrz samej Polski. Arystokracja polska całkowicie odosobniona od narodu polskiego i rzucona w objęcia ciemności ojczyzny; naród polski pozyskany całkowicie dla sprawy demokracji; wreszcie walka klas pomiędzy sobą, siła napędowa całego postępu społecznego, prowadzona w Polsce, jak i na emigracji — oto zwycięstwo demokracji, stwierdzone przez rewolucję krakowską, oto rezultat, który będzie jeszcze wydawał owoce, kiedy klęska powstańców zostanie pomszczona.

Jest rzeczą bardzo istotną, że obaj twórcy nauki o walce klas, patrząc na wydarzenia krakowskie, byli dalecy od upraszczania i wulgaryzacji. W pięknej rozprawie o roku 1846 wyświecił Roman Werfel prawdziwe oblicze ruchu, w którym postępową rolę odegrali rewolucjonisci szlachecy, zwłaszcza zaś Edward Dembowski. Teza ta ma pełne podstawy w ocenach Marksa i Engelsa.

— Nawet szlachta — pisał Marks w 1848 roku — która po części stała jeszcze na gruncie feudalnym, z bezprzykładnym poświęceniem przyłączyła się do demokratyczno-agrarnego rewolucji.

Innym razem stwierdzał Marks na łamach „Nowej Reńskiej Gazety”, że zubożała szlachta reprezentowała w austriackim parlamencie postęp rewolucyjny. Bohaterą ruchu z 1846 roku w Galicji nie u-

patrywał Engels w Jakubie Szeli. „Konserwatywna Austria — pisał — poruszyła nierozwinięty jeszcze żywioł rewolucyjny: chłopów”. Markswi był bliski Edward Dembowski, o którym rodzinna tradycja zachowała wspomnienie, że zetknął się w Brukseli z Marksem.

Wiemy o nim na pewno, że prowadził rozmowy i układał się z Joachime Lelewalem. Założyciel „Klubu rewolucyjnego polskiego” i przywódca „Związku Plebejuszy” w Poznańskim, demokratą czystej wody, jak go nazwał dygnitarz policji austriackiej, jako 24-letni młodzieniec doszedł do zasad, które niechybnie zaprowadziłyby go do obozu socjalizmu, jak zaprowadziły do Stanisława Worcella. „Lud a rewolucja” — głosił Edward Dembowski — to dwa pojęcia nierozdzielne i najgoręcej pragnął „usposobić lud do pojęcia i ukochania rewolucji”. W „Kilkunastu o ekлекtyzmie” wysuwał zasadę, „aby każdemu danym było według zdolności, a każdej zdolności według dzieł” (1843); rozumiał, że „wszelka niewola względem rządu skutkiem jest istnienia własności”, a wolność „tam tylko być może, gdzie niema własności”.

Dembowski, który jak zaświadcza współczesny mu pamiętnikarz (Wiesiołowski) znał związki polskich i rosyjskich rewolucjonistów-dekabrystów i zwykł był wiele rozprawiać o owych spiskach pomiędzy wojskiem rosyjskim i oficerami, młody przywódca plebejskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego i jego wyraziciel — bliski był owym kołom postępu, które reprezentowali Marks i Engels, kształtujący ideologię proletariatu i teorię jego wyzwolenia.

Na program Edwarda Dembowskiego i Juliana Gosłara, Joachima Lelewela i Stanisława Worcella pisali się przywódcy międzynarodowej klasy robotniczej i mogli wyrażać pełne zrozumienie dla manifestu rewolucyjnego krakowskiego rządu, w którym głoszono:

„Jest nas dwadzieścia milionów. Powstańmy razem jak jeden mąż, a potęgą naszej nie przemoże siła, będzie nam wolność jakiej dotąd nie było na ziemi; wywalczymy sobie skład społeczeństwa, w którym każdy podług zasług i zdolności z dóbr ziemskich będzie mógł użytkować, a przywilej żaden i pod żadnym kształtem mieć nie będzie miejsca...; w którym ziemia dzisiaj przez właścicieli warunkowo tylko posiadana, stanie się bezwarunkową własnością, ustąpią czynsze, pańszczyzny i wszelkie tym podobne należytosci, bez żadnego wynagrodzenia, a poświęcenie się sprawie narodowej z bronią w rękę, będzie wynagrodzone z dóbr narodowych”.

Ten sam pogląd na agrarną rewolucję krakowską, co Marks i Engels, żywił Joachim Lelewel, któremu Engels przyznawał cechy geniusza. Powstanie krakowskie nazywał Lelewel rewolucją radykalną, jego manifest aktem socjalnym w najwyższym stopniu rewolucyjnym.

„Jest to pierwsza rewolucja socjalna — stwierdzał Lelewel — która się otwarcie objawia na horyzoncie polskim”.

— Odtąd — przepowiadał duchowy przywódca obozu polskiej rewolucji — żadne powstanie w Polsce nie może obejść się bez ludu, a najdzielniejsze będzie powstanie, które lud sam rozpocznie, któremu nada popęd i kierunek.

Na lud polski stawiał Komitet Narodowy Polski na emigracji, na nim, który „do piero przygotowuje się do wystawienia własnego dramatu i do chwycenia w swe ręce błądnącego koła dziejów, ale którego zwycięstwo jest zupełnie pewne” — opierał swe przewidywania Karol Marks.

Ich obu, nauczycieli ujarzmionych klas społecznych i niewolonych narodów, opinie o Polsce 1846 roku zawarł Fryderyk Engels w słowach następujących:

„Rewolucja krakowska dała wspaniały przykład całej Europie, utózsamiając sprawę narodowości ze sprawą demokracji i z wyzwoleniem klasy ujarzmionej”.

— Tak, panowie — mówił dalej — dzięki rewolucji krakowskiej sprawa polska ze sprawy narodowej, jaką była dotychczas, stała się sprawą wszystkich narodów; ze sprawy sympatii, jaką była dotychczas, stała się sprawą, w której wszyscy demokraci są zainteresowani. Do roku 1846 mieliśmy do pomszczenia zbrodnię, od tej pory mamy popierać sprzymierzeńców i uczynić to.

Józef Sieradzki

BOLESŁAW PRUS

PISMA
WYDANIE ZBIOROWE

POD REDAKCJĄ

Prof. dra ZYGMUNTA SZWEYKOWSKIEGO

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA” ZAWIADAMIA P. T. CZYTELNIKÓW, IŻ PRZYSTĘPUJE DO DRUKU ZBIOROWEGO WYDANIA

PISM BOLESŁAWA PRUSA

POD REDAKCJĄ PROF. Dr. Z. SZWEYKOWSKIEGO

KOMPLET WYDANIA ZBIOROWEGO, SKŁADAJĄCY SIĘ Z 20 TOMÓW UKAŻE SIĘ CZĘŚCIOWO JESZCZE W R. B. POZOSTAŁE TOMY W R. 1949. CENA KATALOGOWA JEDNEGO TOMU W BROSZURZE BĘDZIE WYNOŚIŁA OKOŁO 300—400 ZŁOTYCH.

PISMA UKAŻĄ SIĘ W ESTETYCZNEJ SZACIE GRAFICZNEJ, NA PIERWIE DZIEŁOWYM.

CELEM UDOSTĘPNIENIA CZYTELNIKOM NABYCIA ZBIOROWEGO WYDANIA

PISM BOLESŁAWA PRUSA

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA” ZORGANIZOWAŁA ULGOWĄ SPRZEDAŻ TEGO WYDAWNICTWA.

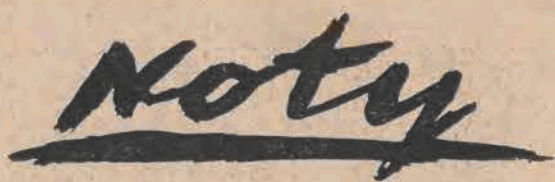
CZYTELNIK, KTÓRY CHCE SKORZYSTAĆ Z ULGOWEJ SPRZEDAŻY WINIEN WYKUPIĆ W KSIĘGARNI ABONAMENT SKŁADAJĄCY SIĘ Z DWUDZIESTU KUPONÓW.

CENA ABONAMENTU WYNOŚI 600.— ZŁ BRUTTO. KAŻDY KUPON UPOWAŻNIA DO NABYCIA JEDNEGO TOMU Z 20% RABATEM.

Kupony Nr. 10 i 20 upoważniają do bezpłatnego otrzymania w księgarni tomów X i XX. Tom X ukaże się na rynku jako pierwszy.

CZYTELNIK REALIZUJE KUPONY W TEJ KSIĘGARNI, W KTOREJ JE NABYL. W TEN SPOŚÓB PIERWSZĄ WYDANĄ KSIĄŻKĘ OTRZYMUJE CZYTELNIK BEZPŁATNIE, A PO WYKUPIENIU NASTĘPNYCH PIĘCIU TOMÓW WPLACONA SUMA 600.— ZŁ ZAMORTYZUJE SIĘ CAŁKOWICIE. NASTĘPNE TOMY OTRZYMUJE CZYTELNIK W DALSZYM CIĄGU Z RABATEM 20%, A TOM XX ZNOW BEZPŁATNIE. (7891)

*) Tematem pracy, z której fragment podajemy, jest stosunek Marksa i Engelsa do sprawy polskiej (Red.).



Politycy emigracyjni

Wśród zbankrutowanych polityków Polski przedwrześniowej rozgorzała teraz walka „wszystkich przeciw wszystkim”. Nowakowski w „Wiadomościach Polskich” występuje przeciw Mikołajczykowi i wyzywa swój legionowy temperament w dosadnym języku krakowskich przekupów. W art. pt. „Dusza pańszczyźniana” znajdujemy (Wiadomości Polskie z dn. 16.5.48) — oto takie kolekcje



epitetów, jakimi b. czołowy felietonista IKC'a obdarza swego „rodaka na obczyźnie” — Mikołajczyka: „Mikołajczyk jest idealnym wcieleniem duszy pańszczyźnianej... Nazwisko jego starczy za slogan, za hasło, wywołujące kompleks pańszczyźniany w taborycie ciurów emigracji... Mikołajczyk dostanie natomiast wiele dolarów na sprawę amerykańską...”

Po tym dosadnym stwierdzeniu celów i zamiarów „zbawcy niedoli chłopskiej” w służbie amerykańskiego wywiadu Nowakowski zapomniawszy jednak dodać, że po te amerykańskie dolary sięgają i inni, nie wytykając palcem...

Nowakowski nie może przeboleć, i stąd jego słowa brzmiące pianą wściekłości, że oto nie on, ani jego kompani, dostąpili zaszczytu przestąpienia progów Białego Domu przed oblicze boga, zsyłającego mienne dolarową — Trumana, lecz właśnie „chłop o duszy pańszczyźnianej”.

Towarzystwo zaczyna powoli wychodzić z dobrej formy. Pomimo wieloletniego pobytu na Wyspach Brytyjskich nasza emigracja nie przyswoiła sobie jeszcze należycie „angielskiej flegmy”. Zaczyna się „demaskarada”. Jedni biorą pieniądze w dolarach dla sprawy amerykańskiej, drudzy w funtach dla angielskiej. Dla nas już dawno jest wszystko jasne. Ale przyjemnie usłyszeć wyznanie z pierwszej ręki.

Ksawery Probołowski

Muzeum Sztuki w mieście robotniczym

Otwarcie Miejskiego Muzeum Sztuki w Łodzi jest wydarzeniem godnym powszechnej uwagi. Muzeum to zawiera znakomicie ułożony szereg obrazów, kopii i reprodukcji w porządku chronologicznym od średniowiecza po czasy najnowsze. W salach, przeznaczonych dla malarstwa polskiego obok kilku obrazów Matejki, Kotsisa, Aleksandra Gieyńskiego, Michałowskiego i in., znajduje się również wspaniały „Portret matki” pędzla Rodakowskiego. Malarstwo francuskie nowoczesnych czasów ukazane jest w doskonałych dużych reprodukcjach, oddających świetnie fakturę oryginałów. Dalsze sale obejmują malarstwo najnowsze. Obok Picassa, Braque'a, Légera — Pronaszko, Strzemińskiego, Hillera i in. Jedną z sal urządzoną i wy-malowaną według projektu Strzemińskiego uderza swoją szczególną pięknnością.



Ta galeria zawierająca przegląd dzieł malarstwa, z takim znanstwem i smakiem ułożony, powinna odegrać ważną rolę w kształceniu zmysłu estetycznego mieszkańców naszego surowego miasta. Analfabetyzm w dziedzinie sztuk, można zwalczać jedynie pracownym ukazywaniem piękna z różnych epok, przechodząc stopniowo od rzeczy łatwiejszych ku trudniej uchwytnej. Ten cel przyświecał widocznie organizatorom muzeum, którym należy się za ich wysiłki najwyższe uznanie. Zdolali oni stworzyć całość żywą i zajmującą, uniknęli martwoty i szablonu, które zazwyczaj mieszkają w muzeach, odbierając blask i ciepło nawet najlepszym dziełom.

Należałoby życzyć sobie, by muzeum to zwiedzały nie tylko szkoły, lecz również szerokie masy robotnicze Łodzi, oczywiście, pod kierunkiem światłych i umiętnych przewodników.

Nie znam statystyki zwiedzających muzeum, ale — o ile mi wiadomo — dotychczas zwiedziło muzeum niewiele osób. Świadczyłyby to, że Łódź nie zdołała dotąd pokonać swego bezwładu kulturalnego i podobnie jak w sprawach literatury, nie wykazuje większych zainteresowań dla sztuki.

W ogólnej akcji upowszechniania kultury i sztuki te fakty powinny być wzięte pod uwagę przez kierowników świetlic i oświaty robotniczej.

m. j.

Wywłaszczenie Muz

Brak zainteresowania ze strony krytyków i recenzentów dla poezji jest zastanawiający. Nie sądzę, by całą winę ponosiła tu poezja. Pojawiały się przecież nowe książki wierszy, krystalizowały się niektóre talenty spośród młodzieży poetyckiej. Przyczyn widocznie szukać trzeba gdzie indziej. Nie podobna tych spraw omówić w krótkiej wzmiance. Chcielibyśmy tylko zanotować do charakterystyczne zjawisko. Trzy naczelnie pisma literackie: „Odrodzenie”, „Nowiny Literackie” i „Kuźnica” poświęcają sprawozdaniom i omówieniom utworów poetyckich bardzo mało miejsca. Wystarczy przypomnieć fakt, że np. „Odrodzenie” nie umieszczało dotąd sprawozdania z Antologii „Dwieście lat poezji rosyjskiej”, ani z przekładu „Dramatów” Puszkina. Wymieniliśmy specjalnie te pozycje, gdyż ważność ich trudna byłaby do zakwestionowania.

Ten brak zainteresowania krytyków i recenzentów dla poezji nie jest usprawiedliwio-

ny rzekomo powszechną niepopULARNOŚCIĄ poezji. Poważna krytyka zresztą, naszym zdaniem, powinna mieć ambicję większe niż tylko sprawozdawcze. Wywłaszczenie Muz poezji, dokonane ostatnimi czasy w pismach literackich w dziale krytyki, wydaje się nam niesłuszne i szkodliwe.

m. t.

Zasługi wydawców

Przed ukazaniem się pierwszych tomów zbiorowego wydania dzieł Stanisława Wyspiańskiego, Państwowy Instytut Wydawniczy wydał oddzielnie, w tanim wydaniu popularnym, „Wesele”. Ta dwutorowość wydawnicza, którą zastosował PIW również w edycji sienkiewiczowskiej, korzystnie wspomaga akcję upowszechniania kultury. „Wesele”, której ambitny plan wydawniczy czytaliśmy w prasie w początku roku wykonał go w tempie nieco zwolnionym. Należy odnotować dwie cenne pozycje z dziedziny przekładów z literatury francuskiej. Ostatnio ukazał się tom Woltera: „Tak toczy się świat” i Murgera: „Cyganeria” w przekładach Tadeusza Boya — Zelenieckiego. Czekamy na dalsze tomy Biblioteki Boya!

ph.

PRZEGLĄD PRASY

JAN SZELĄG w ostatnim numerze „Szpilek” polemizuje nadal z moją obroną pism literackich, którym zarzuca nudę i ucieczkę od aktualności. Dobrze może się stało, że ta polemika toczy się między pismem satyrycznym i popularnym a prasą literacką. W ten sposób końca dyskusji nie będzie można utopić w wodzie, jak się to już często z dyskusjami zdarzało. Czytelnicy „Szpilek” — z pewnością bardzo liczni — powinni zastanowić się nad dwoma felietonami Szeląga, a może nawet wypowiedzieć się na ten temat.

Ponieważ Szeląg okazał się nad wyraz kurtuzyjny, więc szczęśliwie mogę czytelnikom i sobie zaoszczędzić tych zdań, które niekiedy z racji polemiki trzeba wypowiadać, a które najczęściej z samą sprawą nie mają nic wspólnego i należą do dziedziny samobrony.

Szeląg, napadając w swoim felietonie na „Nowiny Literackie”, odsyła mnie do wspomnianych przeze mnie poprzednio licealistów i z triumfem zapytuje: no, cóż, niechże Pan sprawdzi teraz ich opinie o literackich czasopismach.

Niełatwo mi to uczynić, bo moi licealiści wyjechali na wakacje, a i ja wybieram się na odcieczynę. Wolę ostatni mój przedwakacyjny felieton poświęcić omówieniu „Nowin” w przekonanym, że fakty są najlepszą obroną.

Przeciwnik „Nowin” zdaje się zapominać o tym, że jego zarzuty pod adresem tego pisma były skierowane fałszywie. „Nowiny” w założeniu są pismem „eklektycznym”, „tolerancyjnym”, „niemasowym” etc. To, co było słuszne jako zarzut pod adresem np. „Świata Młodych” (nb. bardzo interesujący redagowany dział kulturalno-literacki), nie jest słuszne w odniesieniu do warszawskiego tygodnika.

Nr. 26 „Nowin” otwiera doskonała proza Konstantego Paustowskiego: „Śmierć ojca” w dobrym przekładzie Jerzego Jędrzejewicza. Paustowski jest spadkobiercą najlepszych tradycji rosyjskiej prozy XIX stulecia; szkoda, że ani jedna z jego książek nie ukazała się jeszcze w przekładzie polskim.

Drugą kolumnę zajmuje fragment z II tomu „Pamiętników” Ludwika Krzywickiego, oczekiwanych z niecierpliwością przez tych wszystkich, co czytali już wydany przez „Czytelnika” tom I.

Kolumnę trzecią dzieli Zygmunt Mycielski z Aragonem. Mycielski, którego wnikliwe i inteligentne recenzje muzyczne czytamy pilnie w „Odrodzeniu”, potrafił w krótkim esyju „Sylwetki kompozytorów” opowiedzieć w zwięzłych i dobrze skomponowanych zdaniach o Bachu, Haydnie i Schubercie. Nie są to bynajmniej zgrabnie przyrządzone plotki biograficzne, ale inteligentne i przystępnie podane charakterystyki twórczości muzycznej tych trzech wielkich kompozytorów.

Tu Jan Szeląg, który dba o upowszechnienie kultury, ma najlepszy przykład, jak należy takie rzeczy robić, oczywiście, recepta be-

dzie korzystna tylko wtedy, gdy czytelnikowi nie obce są zupełnie te nazwiska i sprawy. Ale, jak sądzę, nie jest zadaniem „Nowin”, by nauczać rzeczy elementarnych. Od tego jest przede wszystkim oświata na wszystkich szczeblach, a także potężnie rozbudowany aparat prasy codziennej, sieć domów ludowych, popularnych odczytów etc. Krótka wypowiedź Aragona („Iluzja i rewolucja”) określa i wyjaśnia, w jaki sposób pojmują komuniści rewolucję. „Rewolucja — mówi Aragon — nie może być celem sama w sobie, jest tylko środkiem do celu. Umożliwia realizację planu, którego treścią jest szczęście człowieka, jego zwycięska walka z naturą i stworzenie o wiele korzystniejszych warunków życiowych drogą sprawiedliwego podziału pracy fizycznej i umysłowej”.

Na kolumnie czwartej Krystyna Kuliczowska pisze o roli krytyki, twierdząc, że krytyk nie może poprzestać na formalistycznej ocenie dzieła, lecz musi „bezkompromisowo walczyć o pewien typ kultury i taki a nie inny kształt artystyczny, stanowiący najpełniejszy jej wyraz”. Zgadza się zupełnie z pierwszą częścią tego zdania, myślę, że „taki a nie inny kształt artystyczny” przestrzegany nazbyt ortodoksyjnie prowadzić będzie znowu do postawy formalistycznej. Ale to uwaga nawiasowa.

Czesław Miłosz przetłumaczył kilka pieśni murzyńskich, zaopatrując je w ciekawy komentarz.

Z kolei znajdujemy artykuł Stefana Żółkiewskiego o Dygasińskim: „Zwierciadło naturalizmu polskiego”. Szkic trochę suchy, raczej schemat większego esyju o niesłusznym zapomnianym świetnym pisarzu, w którego dziele Żółkiewski dostrzega nie tylko zalety i wady ideologiczne, ale potrafi także, w odróżnieniu od wielu innych krytyków i recenzentów tego samego kierunku, dostrzec także uroki artystyczne.

Stała rubryka Eleutera, wysmiana niezbyt smacznie przez Szeląga we wspomnianym felietonie w „Szpilekach”, dopełnia tego ciekawego, dobrze skonstruowanego redakcyjnie i napewno pożytecznego numeru. Pożytecznego właśnie z punktu widzenia popularyzacji dobrej sztuki, dobrej literatury, dobrej muzyki, dobrej tradycji politycznej (Krzywicki, Aragon). Pozostawałaby więc do dyskusji sprawa metody popularyzowania, ale tu wracam do mojej uwagi o różnorodności i rozmaitym zakresie oddziaływania pism literackich. I myślę, że ta wielostronność i wielorakość jest potrzebna, jeśli chcemy w ślad za awansem społeczno-ekonomicznym uzyskać awans kulturalny dla najszerszych rzesz. Do czegoż bowiem będą awansować ludzie, jeśli nie do Bacha, Haydna, Krzywickiego, Aragona, Paustowskiego, Dygasińskiego, zagadnień krytyki literackiej, sprawy humanizmu socjalistycznego itd.?

ph.

KORESPONDENCJA

W sprawie nagrody

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z wydrukowanym w Pańskim piśmie z dnia 27 czerwca r.b. protestem p.p. Romana Lutmana i Tadeusza Mikulskiego w sprawie nagrody Ziemi Nyskiej proszę uprzejmie o zamieszczenie niniejszego oświadczenia:

Sąd Konkursowy Nagrody Ziemi Nyskiej z dnia 29.5.1948 r. po gruntownej i wszechstronnej dyskusji rozpatrzywszy całość 14 nadesłanych na Konkurs prac, nagrodził z nich trzy, czyli jedną piątą nadesłanych. Przestrzegano tu dwóch głównych warunków: a) rzeczywistego związku tematyki z Ziemią Nyską, b) wartości artystycznej względnie naukowej utworu.

Rzeczy obecnie przez autorów protestu publicznie wzięte w obronę, warunków tych nie spełniały, a mianowicie:

„Ostatnia Gwiazda” a) jako luźno związana z Ziemią Nyską w ostatniej dopiero dysproporcjonalnie krótkiej i najsłabszej części, b) jako rzecz kompozycyjnie zła i niewykończona, z złe pomyślanym i wykonanym bohaterem, bodaj najmocniej akcentująca w jego życiu doświadczenia seksualne, operująca językiem pod względem artystycznym nieprzemysłanym. Broniący jej Członek Sądu Konkursowego sam stwierdził na posiedzeniu Sądu, że rzecz cała wymaga przepracowania. Otóż wyróżnienie jej byłoby naruszeniem powagi nagrody Ziemi Nyskiej i byłoby naruszeniem przepisów konkursowych, co większością głosów uznali członkowie jury. — „Poemat o Nysie” posiadający ładne partie, w sumie nie wydobywał cech indywidualnych Nysy i mógł doskonale odnosić się do każdego innego w czasie wojny zniszczonego miasta nad rzeką.

Właższy to pod uwagę, a mając w pamięci rzeczowy i poważny przebieg obrad Sądu Konkursowego, uznać muszę zdanie p. Dr. Lutmana, który w posiedzeniu Sądu nie uczestniczył i p. Prof. Mikulskiego o „niefrasobliwym wyleminowaniu... dzieł literackich spełniających warunki sztuki pisarskiej i tematu” za sprzeczne z rzeczywistością, a za wysoce krzywdzące dla członków Sądu: a) rzucenie niedwuznacznej sugestii o negatywnym ich stosunku do tematyki Ziemi Odzyskanych, b) usiłowanie podważenia (w protestu częściach końcowych) ich orzeczeń strony etycznej.

Wrocław, dn. 20.6.1948 r.

Stanisław Kolbuszewski,

Profesor Uniwersytetu Wrocławskiego
Przewodniczący Sądu Konkursowego
Nagrody Ziemi Nyskiej.

W sprawie biografii Jana Gelli

W związku z przygotowanym przeze mnie dla Polskiego Słownika Biograficznego życiorysem Jana Gelli (pseud. Hafis), poety, zmarłego w r. 1923, upraszam członków Jego rodziny, krewnych, przyjaciół i znajomych o rychłe dostarczenie mi pod adresem wskazanym tych wszystkich szczegółów biograficznych, które by mogły być wykorzystane w życiorysie.

Prof. Dr. Stefan Kawyn
Lublin, Al. Racławickie 14.

KSIAŻKI NADEŚLANE

Antoni Czechow: Oświadczenia (Zart sceniczny w akcie), przekł. z rosyjskiego Marii Czenierle. Nakł. Spółd. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 44, zł. 100.—

Rozbite w polskim ruchu robotniczym i drogi przez zwyciężenie. Nakł. Wydawn. Szkolenia KC PPR i CKW PPS, str. 24, zł. 20.—

W. I. Lenin: Dziecięca choroba „lewicowości” w komunizmie. Wyd. II. Nakł. Spółd. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 128, zł. 110.—

Adam Schaff: Pogadanki o materializmie historycznym. Nakł. Spółd. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 68, zł. 60.—

Tadeusz Daniszewski: Feliks Dzierżyński, jego życie, praca, walka. Nakł. Spółd. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 126, zł. 210.—

A. Jefimow i E. Tarle: Francuska rewolucja burżuazyjna 1789 r. i wojny napoleońskie, przekł. z rosyjsk. Nakł. Spółd. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 236, zł. 290.—

Józef Pogan: Cierpki owoc (Nowele i opowiadania). Nakł. Spółd. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 128, zł. 150.—

Prof. Dr. Ignacy Adamczewski: Zarys fizyki współczesnej, część III. Nakł. Księgarni Gdańskiej A. Krwawczyński, Gdańsk 1948, str. 152.

Prof. Dr. Kazimierz Bartel: Geometria wykresowa, wyd. III. Nakł. Spółd. Wydawn. „Czytelnik”, Warszawa 1948, str. 422.

Irena Ruszkowska: Chrabąszczowe wakacje. Nakł. Spółd. Wydawn. „Czytelnik”, Warszawa 1948, str. 61.

Sir William Bragg: Światło, przekł. Dr. Wł. Kapuścińskiego. Wyd. II. Biblioteka Popularno-Naukowa „Mathesis Polska”. Nakł. Spółd. Wydawn. „Czytelnik”, Warszawa 1948, str. 305.

J. I. Kraszewski: Starosta warszawski (Obrazy historyczne z XVIII wieku). Nakł. Spółd. Wyd. „Czytelnik”, Warszawa 1948, str. 555.

Effendi Kapilew: Poeta. Nakł. Spółd. Wydawn. „Czytelnik”, Warszawa 1948, str. 285.

Mato Lovrak: Dzieci Wielkiej Wsi. Nakł. Spółd. Wydawn. „Czytelnik”, Warszawa 1948, str. 103.

Benedykt Dąbrowski: 114 start! Nakł. Spółd. Wydawn. „Czytelnik”, Warszawa 1948, str. 224.

Roman Bratny: W karty z historią. Nakł. Spółd. Wydawn. „Czytelnik”, Warszawa 1948, str. 112.

Karol Dickens: Opowieść wigilijna. Świerszcz za koniem. Nakł. Spółd. Wydawn. „Czytelnik”, Warszawa 1948, str. 64.

Wiktor Hugo: Dzwonnik z Notre-Dame. Część pierwsza. Nakł. Spółd. Wydawn. „Czytelnik”, Warszawa 1948, str. 63.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”. Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik”

REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.

Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 204-75

CENA OGŁOSZEN: 2 zł 1 mm na 1 szpalcie 40 złotych.

WARUNKI PRENUMERATY:

Miesięcznie zł 80.—; kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480.—; rocznie zł 960.—.

Należność za prenumeratę należy wpłacać do P. K. O. konto VII—567 „Prenumerata Kuźnicy”

D—030014 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, Żwirki 2.